Helena Leman

W każdym końcu jest początek
Lutry na Kaszubach

Helena Leman (ur. 1962 w Kartuzach) – z wykształcenia historyk, absolwentka Uniwersytetu Gdańskiego. Skończyła też Podyplomowe Studia Dziennikarskie na Uniwersytecie Warszawskim. Od osiemnastu lat związana zawodowo z tygodnikiem „Przegląd". Na jego łamach publikowała wiele reportaży, także z pogranicza sztuki: np. „ U Strumiłły w Maćkowej Rudzie", „Artysta od pasów i kogutów" o Leonie Tarasewiczu. Pisze też opowiadania, jedno z nich pt. „Śmierć Marii" znalazło się w antologii prozy współczesnej „Czas Zelinta". W 2017 roku sześć jej esejów umieszczono w katalogu wystawy Leszka Żurka pt. „Lutry. Dokument wyobrażony".

Helena Leman

W każdym końcu jest początek
Lutry na Kaszubach

Wydawnictwo
bernardinum
2018

WOJEWÓDZTWO POMORSKIE

Zrealizowano przy pomocy finansowej Województwa Pomorskiego

© Copyright by Helena Leman, 2018

© Copyright by zdjęcia, Leszek Żurek

Korekta
Anna Gądek

Wydawnictwo „Bernardinum” Sp. z o.o.
ul. Biskupa Dominika 11, 83-130 Pelplin
tel. 58 536 17 57, fax 58 536 17 26
bernardinum@bernardinum.com.pl
www.bernardinum.com.pl

Druk i oprawa:
Drukarnia Wydawnictwa „Bernardinum” Sp. z o.o., Pelplin

ISBN 978-83-8127-236-0

Spis treści

1. Wstęp 5
2. W każdym końcu jest początek 9
3. Ty Lutrze 11
4. Ostatni ewangelik 13
5. Ci, co pamiętali, już śpią 17
6. A ziemia będzie wilgotna 19
7. Gdzie świeczki palą Tatarzy 21
8. Na stoku jeziora 23
9. Złamana kolumna 27
10. Było warto 29
11. Wiarami się nie handluje 31
12. Amarantowa filiżanka na złotych nóżkach 33
13. Lapidaria nie wystarczą 37
14. Nie mogłem ich zostawić 39
15. Okno na wietrze 41
16. Życie jak Mantel 43
17. Sezon na złomiarzy 47
18. Dzëcze Jachte 49
19. Jedna górka kwiatów 51
20. Bóg jest jeden 53
21. Sprawa o deskę 57
22. Taki piękny ptaszek tam śpiewa 59
23. Zgubione szczęście 61
24. Cukierek do ręki 65
25. Trucizna na lisy 67
26. Kartka z meldunkowej książki 69
27. Jakie on miał sumienie 71
28. Nad zieloną granicą 73
29. Byli różni Niemcy 77
30. Rozłąka jest naszym przeznaczeniem 79

Ewa Polińska-Mackiewicz

Kim jest człowiek…
Stworzony z pośpiechem, pośpiesznie został
stworzony człowiek.
Niewiele większy niż dzikie zwierzęta,
niewiele mniejszy od aniołów…
Trawi go zawiść, oślepia nienawiść, fałsz, złośliwość…
Samotny wędrowiec. Sam, sam, sam…

We wstępie, użyłam myśli Abrahama Joshui Heschela, mając nadzieję, że będą pomocne w zrozumieniu całej tej historii, którą opisuje Helena Leman, a także w zrozumieniu zachowań człowieczych.

Kiedy poznałam Autorkę esejów, które trzymają Państwo w rękach, uderzył mnie Jej rzadko spotykany zmysł obserwacyjny, wrażliwość na to, co zwykło funkcjonować w przestrzeni społecznej jako wartości. Wartości uniwersalne. Helena Leman jest historyczką, dziennikarką, ale jest także w swoim dziele socjolożką, filozofką, poetką. Już w pierwszej rozmowie, mówiąc o świecie ludzi współczesnych, ludzi, którzy się pogubili, okazała rozterkę. – Jeśli się nie odnajdą, zwyciężą stereotypy – zawyrokowała. Helena Leman mówi o nowym pokoleniu ludzi, którzy nie znają lasu, zbóż, nie postrzegają świętości w chlebie, pszczole, kamieniu, zapachu ziemi… Nie znajdują zachwytu dla tego, co ich otacza. Ale, jednocześnie, moja rozmówczyni wykazuje nadzieję (posługując się myślą Levinasa), że w każdym z nas, ludzi, znajdziemy mikrocząsteczkę Absolutu, Dobra, i mamy szansę dotknięcia tegoż w momencie spotkania. Nie mijania się, ale spotkania, które wymaga od nas uwagi, zrozumienia, odpowiedzialności za innego.

Życie jest dramatem. W dramacie życia spotykamy istoty niemal anielskie, ale i potwory.

Historie opowiedziane przez Helenę Leman są wspaniałymi obrazami, pokazującymi, czym jest człowiek i jak daleko działają stereotypy wynikające z niewiedzy, ze skażenia złem, do którego ma człowiek ciążenie, predylekcję. Sceną znakomitej i literacko oryginalnej prezentacji jest miejsce, które wydaje się nam znane – Kaszuby. Miejsce, gdzie przez kilka stuleci żyły obok siebie dwie społeczności: większość – katoliccy Kaszubi i mniejszość – przybysze, osadnicy niemieccy, luteranie, potocznie nazywani wtedy Lutrami – co sugeruje emocjonalny dystans, a nawet obcość.

Idąc za Georgiem Simmlem – obcy ma zwykle pejoratywne konotacje: odrębna kategoria społeczna, niepełne członkostwo w grupie, asymilacja wymagająca zgody innych, wreszcie groźba prześladowania. Choć pozycja obcego bywa i uprzywilejowana. Ma on swobodę odchodzenia i powracania. Poza tym stać go na obiektywizm, który jest niedostępny innym członkom grupy, choćby ze względu na relacje. A ponieważ jest daleki emocjonalnie, może być bezstronnym sędzią, arbitrem, o ile posiada odpowiednie wyposażenie intelektualne. Dzięki temu, że pojawił się później, nabył także prawo do pewnego rodzaju wolności: nie ma zobowiązań i nie dziedziczy ich. Może więc kierować się rozsądkiem, umiarem. Także tradycja nie wiąże obcego. Bywa jednak, że przestrzega on zwyczajów społeczności, do której przybył, uprawiając taktowny rytualizm.

Tak rodzi się rozumne braterstwo, przyjaźń, szczególny rodzaj więzi między ludźmi, jakby danej z przyrodzenia. Powstaje kategoria ludzi bezinteresownych, nieoczekujących wzajemności. Przyjaźń jest często wyżej stawiana od miłości (*vide* stoicy), która to nieraz bywa nawet szkodliwa.

Niemniej trzeba pamiętać (co dziś brzmi paradoksalnie), że ci, którzy zetknęli się ze sobą, staną się obcymi dopiero wtedy, kiedy pojawią się blisko siebie. Obcy jest więc kimś, kogo członkowie grupy znają i widzą, że różni się od nich czymś, co jest dla nich istotne. Taka obcość może być pozytywną formą oddziaływania. Bywa przecież, że wśród bliskich członków grupy pojawiają się także negatywne emocje.

Wędrując wraz z Heleną Leman poprzez miejsca opisów, jak Grabowo Kościerskie, Pełk, Karwieńskie Błota, Dziemiany, Szpon, Nowe Polaszki, Brzyno, Wierzchucino, Babi Dół, Niedamowo, Kobyle, Kaplicę, Somonino, Egiertowo, Hopowo, Sulęczyno, Kościerzynę i wiele innych, spotykamy ludzi złączonych różnymi emocjami, namiętnościami, różnymi więzami, także krwi i przyjaźni, obok niechęci.

Wśród historii ich zespolenia najbardziej wzruszające są te opisujące (poza wspólną pracą, interesami) ich biedę życia, krzywdy ludzkie. Czytając, często miałam poczucie, że nawet najbardziej obcy sobie mają potrzebę uczestniczenia w życiu społeczności, czego efektem są wzajemne związki. Natomiast nie jest tu zauważalna chęć przebywania z innymi dlatego, że potrzebują pomocy (częsty argument wskazujący na źródło wzajemności), ale dla podejmowania zobowiązań względem siebie. Odnajdujemy to w różnych wypowiedziach tych, którzy do dziś pozostali; jedna z rozmówczyń mówi na przykład: „Na pogrzeby w Brzynie chodziła cała wieś, ewangelicy na katolickie, katolicy na ewangelickie. Bóg jest jeden".

Żyli ze sobą setki lat. Ich życie układało się jak życie w innych społecznościach. Druga wojna światowa przerywa ich historię. Wraz z nią pojawiła się wrogość, przemoc, które zrodziły nienawiść. Nastąpił koniec. Choć zanim to się stało, można było odnotować wiele sytuacji poruszających, pokazujących prawdziwie ludzkie zachowania. Ludzką przyzwoitość. Pomimo to reperkusje były tragiczne. Zostały domy, gospodarstwa, świątynie, cmentarze. Zwykło przedstawiać się rzecz metaforycznie, jakby dla unormalnienia, wygładzenia krajobrazu braku tych, którzy byli: „Luter odszedł z pozostawionych kościołów wraz ze swoimi wyznawcami". Owszem. Wyjeżdżali, ale byli tacy, którzy nie widzieli sensu pozostawienia miejsca,

które uznali za swoją małą ojczyznę. Wśród nich byli też na tyle zdesperowani sytuacją, że odbierali sobie życie. Byli i tacy, których zamordowano. Dla zysku. Z nienawiści. Pozostały zarośnięte, zrujnowane groby, wapienne nagrobki z zachowanymi częściowo nazwiskami nie do odtworzenia, z niekompletnymi komentarzami ewangelickimi. Rozkradziono żeliwne ogrodzenia, krzyże, kamienne płyty nagrobne, z wykutymi gotykiem napisami. Rozebrano kaplice na tani materiał budowlany. Wiele cmentarzy splantowano, by zmienić przeznaczenie terenu.

Zostali nieliczni już sąsiedzi Lutrów tamtego czasu. Opowiadają, co pozostało w ich pamięci, a co trudno opowiedzieć ze względu na znamiona podłości człowieczej zawartej w tej historii, wymazywanej z uporem dla zbudowania nowej, pomijającej dziedzictwo tego, co było…

Zadziwia brak reakcji na niszczenie, rabowanie zabytków tejże kultury. Zadziwia brak szacunku dla przeszłości, dla prawdy historycznej, dla zmarłych. Zostały wspaniałe kościoły, na których tablicach widnieją informacje, że to kościoły katolickie. Zabrakło poczucia przyzwoitości, by poinformować o ich przeszłości ewangelickiej…

Pamięć jest zawodna. Pamięć nie pamięta. Świadkowie odchodzą. Można więc swobodnie, bez zażenowania budować nową historię, mity.

„Po Lutrach śladu we wsi nie zostało; był cmentarz, ale podzielono go na działki i dziś na jego miejscu stoją dwa sklepy – spożywczy i przemysłowy” – mówi mieszkanka Dziemian, a kobieta zamieszkująca w Pełku uzupełnia: „Ja prochy moich bliskich w skrzynce przeniosłam na katolicki cmentarz”. Ona i jej brat to ostatni ewangelicy w okolicy. Opowiadają, do jakich okrucieństw zdolni byli ci, co po lasach się kryli.

„To nie jest do uwierzenia, to trzeba przeżyć” – mówi mężczyzna, który przeżył prawie wiek.

„Ci, co pamiętali już śpią”. Pozostały dwustuletnie nieśmiertelniki i fragmenty sentencji cmentarnych, jak ta: *In jedem Ende steht ein Anfang* / W każdym końcu jest początek. Na pewno…

In
jedem Ende
steht ein Anfang

W każdym końcu jest początek

Cmentarz w Grabowie Kościerskim znajduje się może sto metrów od skrętu drogi na Szymbark, w lesie pod wzgórzem. Najpierw trzeba minąć posesję sołtyski po przeciwnej stronie, gdzie kamienny szczyt starego chlewu płonie z daleka jesiennym winem.

Z moim miejscowym przewodnikiem przedzieramy się przez wiatrołomy, krzaki kalin, przez jeżynowo-malinowe chruśniaki, żeby znaleźć jakiś ślad. Nagle coś bieleje w półmroku. *In jedem Ende steht ein Anfang* / W każdym końcu jest początek – czytam na wapiennej tablicy z roślinnym ornamentem. Dalej wśród bluszczy poniewiera się biały krzyż ze zwiewną sylwetką anioła o kobiecej twarzy i misternych skrzydłach. *Geliebt, beweint und unvergessen* – napisano w księdze życia porzuconej gdzieś wśród chaszczy. Śniegi i deszcze zmyły z niej całą biel, został tylko szary beton. Na pobielonym kamieniu urwanym od większej całości ktoś wyrył: *Ich bewahre Dich in meinem Herzen*. Takich detali jest tu więcej, pulchne aniołki pokryte zielonym nalotem strzegą kamiennej świątyni. Kim był ich twórca, lokalnym artystą?, kamieniarzem-rzemieślnikiem? Kogo opłakiwano w stworzonej przez niego księdze? Mój przewodnik uważa, że wszystkie przedmioty wyglądają raczej współcześnie, wskazuje na zawieszkę na wapiennej tablicy, ślad po baterii w krzyżu z aniołem.

– Według mnie ktoś tu chodzi i kładzie te rzeczy – mruczy pod nosem i prowadzi do jedynej czytelnej tablicy na cmentarzu. Zdecydowanym ruchem dłoni zdziera mech z kamienia. Odsłania się napis: *Hier ruht in Gott meine hebe Frau und gutte Mutter Lina Frankenstein geb. Ortmann 1875–1935*. – Moja babka by wiedziała, kim była ta kobieta, zawsze dużo opowiadała o pochowanych na tym cmentarzu. Lecz jej nie słuchałem, a teraz nie żyje. Podejrzewam, że i ja mam niemieckich przodków. Nazywam się Mehring, wszyscy tu jesteśmy wymieszani. Lecz nie ma już co w tym grzebać, było, minęło.

Cmentarz w Śledziowej Hucie najpierw przejeżdżam. – Trzeba szukać takiej zielonej tabliczki na kamieniu – tłumaczy ktoś. Zielona tabliczka informuje o pomniku przyrody – lipie drobnolistnej o obwodzie 280 na 238 centymetrów. Lipa, a właściwie dwie lipy bliźniaczo zrośnięte ze sobą trzymają straż za omszałym murem. Obok kilkanaście pustych ram, na kamiennym postumencie pośrodku, wśród krzaków kaliny, czerwienią się postawione przez kogoś znicze. W liściach barwinka poniewiera się urwana strona z księgi życia z takim samym mottem jak w Grabowie, dalej leży roztrzaskana tabliczka ze znanym napisem:

In jedem Ende steht ein Anfang... W mrocznym starodrzewie powietrze gęstnieje, jakoś przejmująco głośno śpiewają ptaki, lekki poryw wiatru, co nadlatuje od położonej niżej łąki, szepce w liściach, jest jak westchnienie po tych, co odeszli.

W Grabowskiej Hucie zachował się tylko kamienny mur opasujący wzgórze i jeden czytelny nagrobek Mathilde Engisch z domu Hoffmann urodzonej w 1831 roku, a zmarłej w 1905, kochanej żony i *Hofbesitzerin*, w żeliwnym ogródku. Większa cześć cmentarza jest uporządkowana, starannie wycięte zostały chaszcze i samosiejki. Ludzie opowiadają, że zajmuje się nim miejscowa rodzina Guse, co niżej sklepu mieszka. Dzwonię do furtki, otwiera kobieta w średnim wieku: – Ciocia Herta już trzynaście lat nie żyje, niedawno zmarł też wujek Walter... – mówi.

Ty Lutrze

Dom Gertrudy Cisewskiej stoi pod lasem, po lewej stronie drogi prowadzącej z Dziemian na Dywan. Gdy tłumaczę jej, że przygotowuję książkę *Lutry na Kaszubach*, wybucha śmiechem.

– Tak mnie wszystkie dzieciaki w szkole powszechnej przezywały. „Ty Lutrze!" – wykrzykiwały na przerwach, a ja tłukłam się z nimi do upadłego. To wcale nie było miłe. Z tymi religiami to tylko zamieszanie, ja czasem myślę, że już w nic nie wierzę; jak powiedziałam to księdzu, to tylko uciął: „W Boga trzeba wierzyć". Do katolickiego kościoła chodzę, bo weź nie idź. Kolędę też przyjmuję. Koleżanki z koła gospodyń przychodzą do mnie, szykują stół, stawiają krzyż, świece i wodę święconą. W każdą środę mamy spotkania, pieczemy ciasta, chleby, kukle na parafiady, jeszcze by tylko tego brakowało, żeby jedna z nas zaczęła ewangeliczkę grać. Wszystko już minęło. Moje córki były konfirmowane w ewangelickiej świątyni w Sopocie. Dzieci mojego brata bratowa po cichu ochrzciła w katolickim kościele. Taki los.

Na cmentarzu w Sominach znajduje się grób siostry Gertrudy, która zmarła w dzieciństwie, i Jerzego z domu Żywiec. Córka Gertrudy mówi, że porządkowanie ewangelickiego cmentarza idzie tam opornie. „Po co?" – pytają ludzie z sąsiadujących z nim działek.

Ostatni ewangelik

Helena Lüdtke, emerytowany sekretarz gminy, którą tę funkcję pełniła trzydzieści pięć lat, wyprostowana jak struna stoi w drzwiach swojego domu w Dziemianach i patrzy mi surowo w oczy.

– Po Lutrach śladu we wsi nie zostało – mówi. – Był tu cmentarz, ale podzielono go na działki i dziś na jego miejscu stoją dwa sklepy, spożywczy i przemysłowy. Ja prochy swoich bliskich w skrzyneczce na katolicki cmentarz przeniosłam. Mieszka jeszcze we wsi Gertruda Cisewska, z domu Żywiec, ona i jej brat Jerzy Żywiec z Pełku to ostatni ewangelicy w okolicy. Musi pani na Dywan jechać i przy krzyżu na prawo skręcić, on tam mieszka w starym młynie. Zresztą ten młyn po wojnie ktoś podpalił, nie wiem, jak on tam właściwie teraz żyje.

Jerzy Żywiec, drobny, energiczny, z kręconą brodą, powtarza podniesionym głosem wciąż jedno zdanie: „To nie jest do uwierzenia, to trzeba przeżyć!", jego słowa płyną nad łąkami, nad polanami, odbijając się echem od leśnych wzgórz.

Urodził się w 1941 roku w samym środku wojny. Jego rodzina przywędrowała do Pełku z okolic Działdowa. W 1933 roku kupili w okolicy 57 hektarów ziemi, lasów i łąk. Utrzymywali się z hodowli bydła, postawili młyn na rzece i tartak. Dziadek Jerzego prowadził też dyliżans konny.

– Ojca wzięli do Wehrmachtu na początku wojny – opowiada Jerzy Żywiec. – Najpierw przyjeżdżał na przepustki, a potem zaginął, przepadł jak kamień w wodę, bez śladu. Przyszedł tylko list z wojska, że jest *vermisst*, lecz ja w to nie wierzę, pewnie zatłukli go ci, co po lasach się kryli. Oni ludziom gardła widłami przebijali dla rabunku, rozkręcali tory, choć tymi pociągami częściej kobiety na targ jeździły niż wojsko. W zimie podchodzili do nas na szczudłach, żeby śladów nie zostawić, i walili kolbami w okna i drzwi. Jedno takie najście pamiętam szczególnie, to było już po wojnie. Matka zawsze na noc okna kocami zasłaniała, a tu nagle łomot w szyby: „Ty, Niemka, my ci wszystkie gęsi wzięliśmy, ale gąsiora zostawiliśmy!", wołali szyderczo. A my z siostrą łykaliśmy łzy, bo te gęsi paśliśmy całe lato. Nawet Rosjanie więcej litości mieli, bo zostawili nam krowę. „To dla malczika", powiedzieli. A jak grali na naszym fortepianie, wycinając „kazaczoka", to z kucków wskakiwali prosto aż na stół. To nie jest do uwierzenia, to trzeba przeżyć...

– Pożar młyna był we wrześniu, zaraz po dożynkach w Ugoszczy w 1948 lub 1949 roku, nie pamiętam dokładnie – ciągnie. – Po dożynkowej zabawie nocowałem z matką w szkole. Nagle się przebudziła i jakby

tknięta złym przeczuciem powiedziała: „On nas podpalił”. Gdy moja siostra pobiegła do jego domu, prosząc o pomoc, usłyszała, że ma być cicho, bo jeszcze dzieci pobudzi... Niedługo po tym zdarzeniu temu człowiekowi pas od motoru piły tarczowej rękę wkręcił i tak pokaleczył, że trzy razy mu ją łamali. Bóg naznaczył go na całe życie.

Podpalaczem okazał się mężczyzna, który u Żywców pracował. Przyznał się po wielu latach.

Trzypiętrowego młyna w Pełku nigdy nie odbudowano. Ziemię Żywców jako wrogów narodu polskiego przejęły lasy państwowe. Matka wyjechała do Niemiec w latach sześćdziesiątych, zmarła w domu opieki w Bad Essen. Jej syn zrobił kurs młynarza i aby utrzymać rodzinę z piątką dzieci, pracował w młynie w Dywanie. Choć po śmierci żony mógłby zamieszkać u dzieci, nadal hoduje stado krów. Ostatnio dostał pismo z nadleśnictwa, że nie wolno mu wypasać zwierząt w lesie.

Stoimy na mostku, na wiejskiej drodze przy młynie w Dywanie, obserwując poziom wody. Podchodzi do nas mężczyzna. Informuje, że jest to teren prywatny, monitorowany i mamy odejść. Gdy Jerzy Żywiec tłumaczy, że woda jest piętrzona za wysoko i zalewa mu łąkę, słyszy: – Nie masz żadnej łąki! Nie masz nic! A ja będę piętrzył tyle, ile będę chciał, nawet na dwa metry!

– To nie jest do uwierzenia, to trzeba przeżyć! – woła staruszek i naciskając mocno na pedały, rusza rowerem w las. W szalonym pędzie dojeżdżamy do polany czerwonej od kwitnącego szczawiu. To dotąd sięga jego gospodarstwo, ma do niego prawo, choćby przez zasiedzenie – powtarza uparcie. W sąsiedztwie jest bunkier i grób Józefa Gierszewskiego majora „Rysia” zabitego bratobójczo przez kolegów z oddziału w 1943 roku. W tym bunkrze po wojnie, gdy był na jagodach z matką, Jerzy zobaczył diabła, a może był to tylko wytwór jego dziecięcej wyobraźni...

Ci, co pamiętali, już śpią

Cmentarz w Somoninie na wysokim wzgórzu nad wsią jest nagi, zupełnie odarty z drzew. Zimny wiatr smaga małe klony samosiejki, które puściły się między bluszczami. Pięć sosen na obrzeżach tnie ciemną kreską wieczorne niebo. Ostre, późnojesienne słońce kładzie długie cienie, rozpalając do czerwoności ceglany mur oddzielający cmentarz od szosy. Z boku muru już nie ma, urywa się nagle, jakby ktoś właśnie przerwał jego rozbiórkę. Wszystkie groby w miękkiej, zielonej gęstwinie. Czasem tylko stopa zahaczy o jakiś ostry kant, o niewidzialny fragment płyty, o kamień, który wydaje się zbyt gładki jak na polny. W tym roku obrodziły tu opieńki, których nikt nie zbiera. Na zrudziałych od przymrozku krzakach kołyszą się przejrzałe maliny.

Vater ich befehle meinen Geist in Deine Hande / Ojcze powierzam mego ducha w Twoje ręce – napisano na kamiennej tablicy należącej do Eveline Geisler. Żyła siedemdziesiąt osiem lat, urodzona w 1852 roku w Wandersee, czyjaś kochana żona, dobra matka i babka.

– Jak to się stało, że tylko ten jeden pomnik ocalał? – zastanawia się starsza kobieta, pracująca w ogrodzie, przy gospodarstwie. I nie znajduje odpowiedzi. Gdy pytam, czy ktoś mógłby jeszcze pamiętać tych, co tam spoczywają – na chwilę unosi głowę znad sterty wyrwanych na zimę dalii i patrzy mi w oczy długo. – Nikt tu pani nic nie powie, gdyż ci, co pamiętali, dawno już śpią. Tylko trochę nieładnie, że te drzewa tak pokradziono.

Wokół cmentarza, domek przy domku, wyrasta nowe osiedle. Pastelowe elewacje, czerwone dachy. W oknach zapalają się pierwsze światła, szczekają psy. Ktoś przystanął i przygląda mi się ukradkiem z podwórka.

Przy kutym płotku natrafiam na drugi zachowany nagrobek. Jest to urwany krzyż o zaokrąglonych po kaszubsku ramionach. Śpi pod nim w Bogu Mariette lub Henriette Belchke (napis prawie zmyty) z domu Becker urodzona w 1824, a zmarła w 1899 roku. Do jego kamiennych ramion tuli się przed zimnym wiatrem samotny krzak bzu...

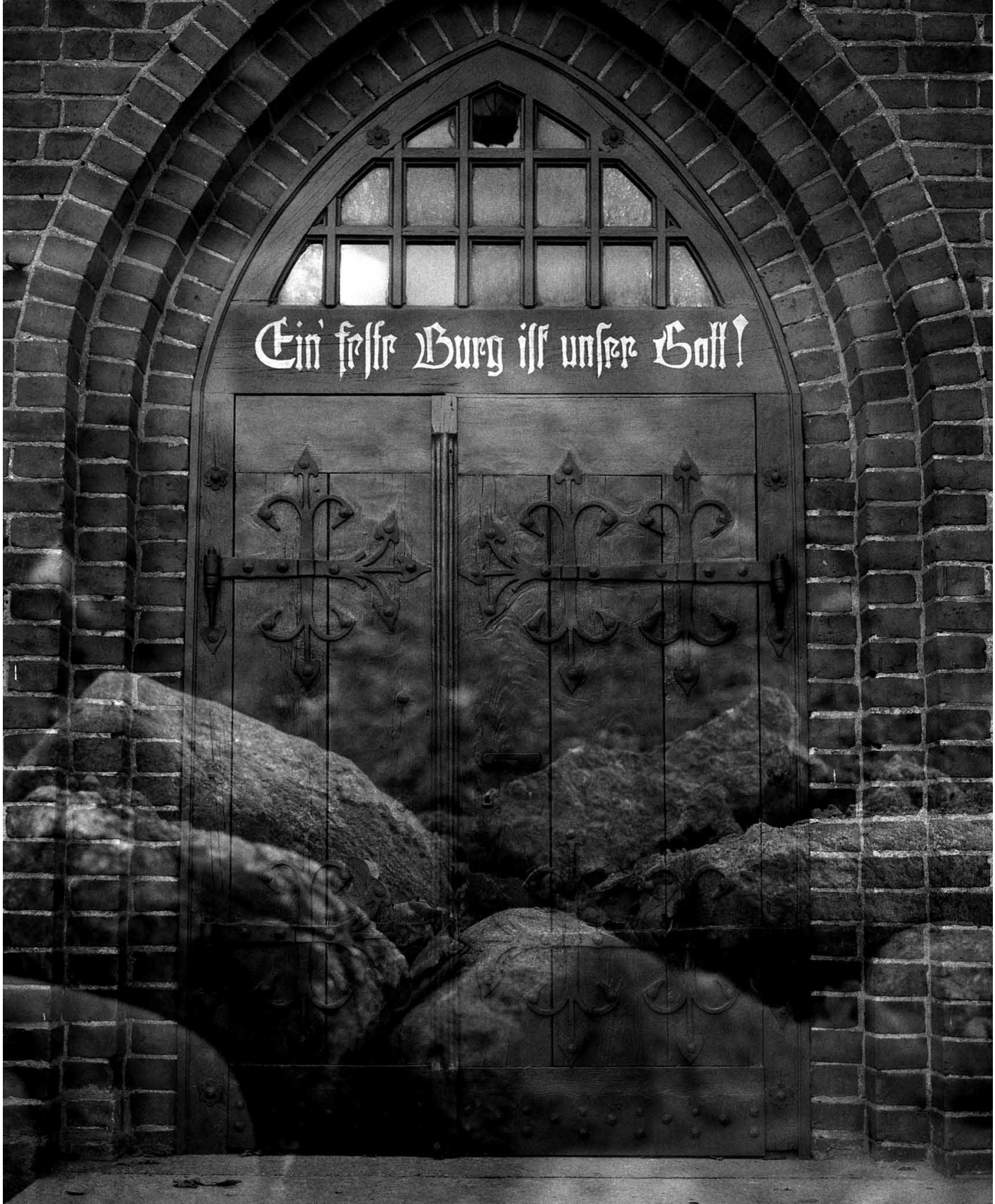
Ein' feste Burg ist unser Gott!

A ziemia będzie wilgotna

Maria Walkusz dokładnie pamięta ostatni pogrzeb w 1946 roku na ewangelickim cmentarzu w Hopowie. Chowano wówczas starego [Dobronca], uroczystość prowadził sędziwy pastor August Weber. W szparach między deskami trumny zbitej w pośpiechu przez stolarza Sztromskiego prześwitywało ciało zmarłego. Nieśli je na ramionach miejscowi gospodarze, Kaszubi i Niemcy pospołu, wśród nich przyszły mąż pani Marii Jerzy Walkusz. *Es regnet , Gott segnet, die Erde wird nass* – śpiewali, przeczuwając, że to ostatnie ich wspólne spotkanie. Jeszcze w tym samym roku wyjechał w transporcie na Zachód pastor Weber. Nie dotarł do celu, zmarł podczas drogi, w Szczecinie. Najstarsi mieszkańcy wsi mówią, że był z niego dobry i sprawiedliwy człowiek. Ratował miejscowych przed wywózkami, ostrzegał przed aresztowaniami, nie patrząc, kto katolik, a kto ewangelik. Dzięki niemu cała wieś ocalała.

– Za to po wojnie spotkał go okrutny los, na który nie zasłużył – podkreśla kobieta, która pracowała dla pastora podczas wojny. – Dokuczali mu nie tylko Rosjanie, ale i miejscowi. Zaraz po wojnie wszyscy głodowaliśmy, lecz on już zupełnie nie miał co jeść, wszystkie rzeczy rozdał za kromkę chleba; to, czego nie rozdał, i tak mu zabrano. Piękny stół na dwadzieścia cztery osoby, przy którym spotykali się pastorzy z całego Pomorza, też, powiedzmy, „oddał". Starsi tutaj dokładnie wiedzą, kto dziś przy tym stole siada. Pewnie w tym transporcie umarł z głodu, słaby już był, miał osiemdziesiąt pięć lat.

Na maleńkim cmentarzu nie ma śladu po tych, których na wieczny odpoczynek odprowadzał pastor Weber. W cieniu starych drzew bieleją szeregi kamiennych skrzynek, wszystkie odarte z płyt. Puściły się w ich wnętrzu młode klony i bluszcze, pokrywając pustkę zielonym płaszczem. Z kutych płotków uchował się jeden. Spoczywa w nim Besitzer Karl Guse urodzony 20 grudnia 1851 roku, zmarły 19 stycznia 1900. Obok niego zasnął w Bogu Julius Shell, zmarły pięć lat później. „Mój kochany mąż, wasz dobry ojciec" – napisano na nagrobku. Tylko dwadzieścia cztery lata żył Gustaw Schurich. Nikt tu w Hopowie nie pamięta Shellów, Schurichów ani rodziny Guse, za to nazwisko Wiegand dramatycznie zapisało się w zbiorowej pamięci. Mathilde Wiegand – geboren Hoffmann 1856–1900 – czytam na przełamanym metalowym krzyżu opartym o pień potężnej lipy.

– To mogła być jego matka albo ktoś z rodziny – mówi cicho Jerzy Walkusz. Gdy 11 listopada 1939 roku trwała egzekucja Polaków w hopowskim lesie, Wiegand razem z innymi miejscowymi Niemcami pilnował

leśnej drogi. Drogą tą wracał do Egiertowa siedemnastoletni Janek Kleina, zwolniony przez Niemców z egzekucji. Wiegand wziął go za zbiega. Przez pomyłkę go zabił, nie wiedział, że go puścili. Zakłuł go bagnetem, bo miejscowym nie wolno było strzelać.

Całe zdarzenie opisuje też Marta Kleina z Egiertowa, szwagierka zabitego:

– Wiegand przykuł Janka szablą do drzewa, bo bał się, że ten opowie o mordzie. W Hopowie trzech miejscowych Niemców wstąpiło do SS, Wiegand do nich nie należał. W 1945 roku nie próbował uciekać na Zachód. Aresztowany przez polskie władze, został osądzony i skazany na śmierć przez powieszenie. Wyrok wykonano w Gdańsku. Wiegand nigdy oficjalnie nie przyznał się do zbrodni. Gdy podczas rozprawy teściowa zapytała go, czy zabił jej syna, zaprzeczył. Zaraz po zadaniu pytania wyszła z sali rozpraw i nigdy więcej tam nie wróciła. Wiegand, dopiero jak zapadł wyrok, przekazał jej tę straszną prawdę za pośrednictwem doktora Kotłowskiego.

– Może bał się jej spojrzeć w oczy?... Może gdzieś w głębi duszy żałował i sam nie umiał się pogodzić z tym, co zrobił? – zastanawia się Marta Kleina.

W 2012 roku odprawiono pierwszy raz nabożeństwo majowe na starym ewangelickim cmentarzu. Było to pierwsze nabożeństwo od pogrzebu Dobronca w roku 1946. Na drzwiach poewangelickiego kościoła w Hopowie widnieje napis: EIN FEST BURG IST UNSER GOTT. W świątyni spod grubej warstwy zielonej farby wydobyto zarys twarzy Marcina Lutra...

Gdzie świeczki palą Tatarzy

Do cmentarza w Czernikach od szosy prowadzi biała od kwitnących kasztanów aleja. Wśród chaszczy trudno wypatrzeć choćby jeden zachowany nagrobek, jedną ramę czy fragment tablicy. Wszystko pochłonęła zieleń. Tylko ta twardość pod stopami, nagła nierówność, w którą wpada noga, każe się domyślać, że pod warstwą zeszłorocznych liści, bluszczu, fiołków i konwalii znajdują się groby.

Rolnik z gospodarstwa na zakręcie, z twardym niemieckim „r" w głosie, pyta, czy jeszcze coś tam znalazłam. Opowiada, że rozmaici szabrownicy sukcesywnie wywozili stamtąd, jedni kamień, drudzy drzewo. – A przecież z cmentarza nic zabierać nie wolno, bo to krzywda dla tych, co tam leżą, a dla żywych nieszczęście gotowe, tak zawsze mówili starzy ludzie – podkreśla.

– Przed wojną w pałacu we wsi mieszkała rodzina Strachanowskich – ciągnie. Jesienią 1939 Niemcy aresztowali i zamordowali braci Karola i Bolesława Strachanowskich. Po wojnie pałac stał się domem dla pracowników PGR, a po rozwiązaniu pegeerów trafił w ręce państwa Węgrzynów – Tatarów. Jeździli konno po zakupy, na pocztę, nawet do ośrodka zdrowia, w zimie w czapach z lisią kitą. Lecz w Święto Zmarłych zawsze na „Friedhof" zajrzeli i postawili lampkę. Nawet teraz, gdy się zestarzeli i z koni przesiedli się do samochodu, a ich dzieci dawno na Zachód wyjechały, rok w rok chodzą palić światło tym, o których świat zapomniał...

Na stoku jeziora

Na „Ostrówku", czyli półwyspie jeziora Zagnanie w Podlesiu Wielkim, w półmroku, tajemniczo skrzypią buki. Pojedyncze liście nieśpiesznie spadają na odarte z płyt groby, które schodzą tarasowo ku wodzie. Zmarli patrzą przez tę wodę na wieżę kirchy, której fundatorem w 1905 roku był Robert Wilhelm Schnee, nazywany przez miejscowych „Szneją". – Właściciel majątku został pochowany za kamiennym murem, pośrodku cmentarza. Grób był ogrodzony czerwoną cegłą i miał marmurową poduszkę, którą potem kamieniarze ukradli – opowiadają starsi mieszkańcy wsi. Wielki Podleś wraz z folwarkiem Sarnowy w posiadaniu rodziny Schnee był od 1850 roku.

– Na początku XX wieku majątek „Sznejów" objęła parcelacja. Wszystkie parcele dostali Niemcy, tylko jedna przypadkowo trafiła do Polaka, nazywał się Wróbel. Gdy Szneja zmarł i nastała Polska, jego grób pielęgnowała moja mama. W Sarnowach do 1945 roku sołtysem był „Szafirus". Miał czwórkę dzieci, dwóch synów i dwie córki – mówi Leon Bielawa z Podlesia Wielkiego, lat dziewięćdziesiąt.

– Szafirus bronił miejscowych – opowiadają starsze kobiety. Lecz jego dzieci chciały budować wielkie Niemcy. Po dojściu Hitlera do władzy w 1933 roku raz w miesiącu niemiecka młodzież organizowała polityczne schadzki „na Ostrówku", na polanie, przy cmentarzu, a kaszubscy chłopcy ukryci w krzakach obrzucali ich zgniłymi jajami. We wrześniu 1939 młodzi Szafirusowie wywiesili w oknach flagi, nałożyli bindy ze swastyką i chodzili po wsi, „hajlując". Za tę butę zapłacił ich ojciec, w marcu 1945 zabili go Rosjanie na Nakielskich polu. Zaraz za Brzóskowskimi jest taki lasek, tam został najpierw pochowany. Jego żona uciekła do siostry, która miała męża Polaka. Lecz ta bała się ją przechowywać. Więc Szafirusowa powiesiła się w jej stodole. Córki Szafirusów wojnę przeżyły, wyjechały do Niemiec.

– Ciało Szafirusa potem przeniesiono na ewangelicki cmentarz w Podlesiu Małym, z naszych okien ten cmentarz widać – dodaje Maria Brzóskowska, lat osiemdziesiąt dziewięć. Na jego grób długo ktoś przychodził. W czasie wojny zakazany był ubój zwierząt hodowlanych na własne potrzeby, za taki samowolny *Schwarzschlachtung* można było nawet do Stutthofu trafić. Mój ojciec nieraz Szafirusa podpytywał: „A jakbym tak puknął?". „Mnie tego nie mów" – odpowiadał mu zawsze, lecz nigdy go nie wydał, ale jak nas wysiedlano, z prawdziwie niemiecką skrupulatnością spisywał cały nasz stan posiadania...

– Miałam serdeczną koleżankę ze szkolnej ławy – ciągnie Maria Brzóskowska – nazywała się Gertruda Willa. Wszystko robiłyśmy wspólnie. Gertruda wychodziła mi na spotkanie rano i odprowadzała mnie po lekcjach. Gdy wybuchła wojna, polskie dzieci miały zajęcia tylko trzy razy w tygodniu po jednej godzinie, od ósmej do dziewiątej rano, i kontakt się urwał. Jednego razu zwalono nam płaszcze w szkolnej sieni, nadeszła na to Gertruda, przykro jej się zrobiło, lecz bała się stanąć w naszej obronie. Ostatni raz spotkałam ją już po wyzwoleniu, w ochronce u sióstr w Kościerzynie. Niosła wodę, przeszła obok mnie bez słowa…

– Przed wojną Niemcy z Polakami w zgodzie żyli, nasi do Niemców na wesela chadzali. Za okupacji się pogorszyło, ale nie wszystko. Pasłem krowy u Konrada Schultza i żadnej krzywdy tam nie miałem – opowiada Leon Bielawa. Jednak byli tacy, którym u Niemca robić się nie chciało, woleli w lesie bunkier wykopać i nocami chodzić po jedzenie do wioski. Pewnego razu Radac, co do Kiszewy do młyna rowerem jeździł z flintą przewieszoną przez ramię, zatrzymał partyzanta. Chłopak po *ausweis* niby sięgnął, a tak naprawdę złapał pistolet i wystrzelił. Za zabitego Niemca miało zginąć dziesięciu mężczyzn ze wsi, Schultz nie pozwolił ich rozstrzelać. Szafirusa Kalinowski ukrywał, niewiele brakowało, aby i jego sołdaci zabili. Mój kolega z chłopięcych lat, Reini, wyjechał i chciał mnie do siebie do Dortmundu ściągnąć, a Gerard Konrad z Polką się ożenił i w Lipuszu był rzeźnikiem, zaś siostra mojej mamy wyszła za ewangelika i z nim wyjechała, Schneje z Grabowa, spokrewnieni z naszymi, z Podlesia też wyjechali.

Na Ostrówku cisza absolutna. Po jeziorze sunie bezszelestnie samotna łódź, sylwetka rybaka w niej wydaje się nierzeczywista w październikowej mgle. Na ziemi leżą porzucone słupy odlewowe o charakterystycznej formie sękatego drzewa, pomiędzy sękami umieszczono liście dębu – niemieckiego drzewa. Wracając, mijam stare gospodarstwo, na dachu domu z czerwonej cegły błękitnieje folia. Niemłody już mężczyzna staje w drzwiach kontenera. Pyta, czy trafiłam do Lutrów, „gdyż ścieżki do nich całkiem już zarosły”.

Złamana kolumna

Cmentarz ewangelicki w Kościerzynie likwidowano tak jakoś na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych – opowiada Wojciech Pestka. – Byłem już po maturze i pracowałem w fabryce porcelany w Łubianie. Jednego razu przyszedł nakaz, że wszyscy młodzi mają stawić się w sobotę na czyn społeczny – akcję porządkowania niemieckiego cmentarza. Postanowiłem, że miejsca pochówku, obojętne, kim są zmarli, dewastować nie będę, choćbym miał stracić przez to posadę. Lecz inni poszli, jak na majówkę, ubrani w sportowe stroje, wyrywali płotki, zdejmowali płyty, a muzyka im do tego przygrywała. Pamiętam, że stała tam taka złamana kolumna z białego marmuru, jakiś czas potem taka sama kolumna pojawiła się na katolickim cmentarzu, znalazł się też tam czarny bazalt, który wcześniej widziałem u ewangelików. Jak pani zejdzie z pagórka niżej, rosną tam cztery lipy, był przy nich grób dwunastoletniej dziewczynki, otoczony żeliwnym płotkiem, płotek został wyrwany, lecz w pniach drzew są jeszcze ślady po nim...

Na miejscu dawnego cmentarza w Kościerzynie jest dzisiaj park, ludzie jeżdżą rowerami, spacerują, ćwiczą na siłowni na wolnym powietrzu. W 2008 roku położono w parku głaz z napisem: „W tym miejscu był cmentarz ewangelicki – Pamiętamy”...

Było warto

W Kameli, zaraz za przystankiem, skręcam z szosy na prawo w leśną dróżkę. Potem po jej lewej stronie jest jeżynowy parów, za nim wzgórze okolone omszałym, kamiennym murem, ledwo widocznym spod grubej warstwy darni. Piaszczystą polanę wzięły w posiadanie lipy drobnolistne – pozostałość po cmentarnej alei, nawet barwinek rośnie tu skąpo. Ponadstuletnie żywotniki zachodnie wyrastają prosto z grobów. W centrum dwa krzyże, pierwszy, z ażurowymi ramionami, należy do Carla Friedricha Otto. *Unser Trost ist Anfersteh'n Unsere Hoffnung Wiedersehn* – czytam na jego odwrocie. Na mniejszym, w głębi, tabliczka z tekstem: „ Błogosławieni zmarli, albowiem odpoczywają od wszystkich swoich prac. Ojczyzna to ziemia i groby. Narody, tracąc pamięć, tracą życie. Przechodniu, jesteś na cmentarzu ewangelickim w Kameli. Ostatni pochówek odbył się w 1946 roku. Pochowana została Pani Grinwald".

– Grinwaldkę przygarnęła moja mama w 1945 roku, gdy jej gospodarstwo zajęli Polacy – opowiada Władysława Rybakowska z Kameli. – Przyszła do nas jak stała, z koszem ubrań tylko, które nam porozdawała. Miała trzech synów, którzy obawiając się o swoje życie, zostawili ją. Jeden uciekł do Niemiec, drugi odnalazł się jakiś czas później i ożenił się z Polką, z trzecim nie wiadomo co się stało. To była dobra, cicha, pracowita kobieta, uczyła nas robić na drutach. Kilka miesięcy po sprowadzeniu do nas nagle zachorowała i zmarła. Żadnego pogrzebu nie było. Po prostu zbito skrzynkę z desek i zaniesiono ją w tej skrzynce na ewangelicki cmentarz. W którym miejscu dokładnie została pochowana, nie wiem.

Dom Irmy z domu Schwarz jest na samym końcu wsi, po lewej stronie szosy, jak się na Przywidz jedzie. Na spotkanie z nią umawiam się przez jej córkę. Gdy przyjeżdżam, okazuje się, że jest w szpitalu. Do gospodarstwa prowadzi ledwo widoczna dróżka, kiedyś brukowana. Sąsiedzi Irmy zagrodzili tę drogę metalową bramką. Przez dwanaście lat rodzina Irmy musiała przechodzić przez tę bramkę górą, choć służebność drogi zapisana była w księgach wieczystych. Dziś bramka jest otwarta; aby wjechać, muszę ją tylko lekko uchylić...

Z Irmą od lat przyjaźni się Franciszka Węsiora. Ludzie we wsi żartują, że choć Irma ewangeliczka i Niemka, to „Węsiorka" jej listy do rodziny w Niemczech pisze.

– Ostatnio była właśnie w tej sprawie – potwierdza pani Franciszka. – Lecz źle się czuła, narzekała na żołądek, ale pochwaliła się jeszcze, że traktor kupiła: „Teraz mam swój i od nikogo najmować nie muszę", oznajmiła. Ot, cała Irma, zawsze praktyczna i zdecydowana. Choć osiemdziesiąt sześć lat skończyła. Tym

traktorem to już pewnie ona jeździć nie będzie, tylko jej zięć, ale dopięła swego. Zawsze powtarzała, że tu jest jej gospodarka i jej ojcowizna.

– Schwarz, ojciec Irmy, był człowiekiem uczynnym, wiele razy nam przy sianie pomagał. Pochowany został w Przywidzu. Lecz ewangelicki cmentarz tam zlikwidowano i potomkowie Schwarzów musieli swoich bliskich wykopać i przenieść na katolicki – dodaje Władysława Rybakowska.

Kilka lat temu jej syn Roman zaszedł na cmentarz w Kameli z wnukami.

– Za młodu chodziłem tam często na prawdziwki, lecz teraz to miejsce było nie do poznania. Groby bez płyt, po ogrodzeniu nawet śladu. Nagle poczułem pod stopą coś twardego. Odgarnąłem liście i zobaczyłem przysypany ziemią ciężki, stary żeliwny krzyż. Drugi, mniejszy, stał oparty o drzewo. Aby ostatnich krzyży nie ukradli złomiarze, pojechaliśmy z żoną i władowaliśmy je na przyczepkę. Miesiąc szlifowałem ten wielki, aż odsłoniło się nazwisko Otto. Moja mama pamięta Ottów, wyjechali w 1945 roku. Na mniejszym krzyżu, który przerobiłem trochę, umieściłem tabliczkę, motto wymyśliłem sam, chciałem jeszcze dodać listę pogrzebanych na tym cmentarzu, lecz nie udało mi się jej ustalić. Gdy postawiłem krzyże z powrotem, Irma, która chyba przez sześćdziesiąt lat na ten cmentarz nie zaglądała, poszła tam z moją mamą i świeczkę zapaliła. Choćby dlatego było warto to zrobić.

Rybakowscy posiali też na cmentarzu maki, ale nie wyrosły, gdyż za wielki tam cień. Tylko lipy jak co roku kwitną pięknie, lipowe kwiaty na herbatę zbiera tam córka Franciszki Węsiory. A córka Irmy przychodzi przed Wielkanocą po barwinek.

Wiarami się nie handluje

Wiosną 1945 roku dwie starsze córki Gertrudy Ossowskiej z domu Schwonke, ewangeliczki, Rosjanie powieźli na Syberię. Na Syberię zabrali też jej męża, choć był Polakiem. Kobieta z dwójką młodszych dzieci została sama. Jednego dnia, zrozpaczona, bladym świtem zaczęła się dobijać do drzwi plebanii w Starej Kiszewie, szukając pociechy. Chciała przejść na katolicyzm. Od księdza usłyszała, że „on wiarami nie handluje"...

– Gertruda wyszła za brata mojej mamy kilka lat przed wojną – opowiada historię swojej ciotki Maria Moritz. Ślub odbył się w katolickim kościele. W czasie wojny jednak wróciła do wyznania ewangelickiego ze względu na bezpieczeństwo rodziny. Po wyzwoleniu, gdy ksiądz jej odmówił, przystała do świadków Jehowy. Wejście do tej wspólnoty to był balsam na jej rany. Jej krewni wyjechali później do Niemiec. Ona została, całe życie czekała na powrót męża i córek z Rosji, lecz oni nigdy nie wrócili.

Amarantowa filiżanka na złotych nóżkach

Na ewangelicki cmentarz rodziny von Schadowów w Niedamowie drogę wskazuje mi góral. Mówi, że jak tylko tutaj przyjeżdża, to zawsze idzie tam na spacer, gdyż na Podhalu takich starych, opuszczonych cmentarzy innych wyznań nie ma.

– Trzeba się kierować ciągle na prawo, aż na sam cypel jeziora. Jesienią nie można tam było nawet dojść, gdyż teren niżej stał pod wodą. Lecz teraz da się przemknąć, najpierw łąkami, potem leśną ścieżką pod górę aż na samo wzniesienie.

Wieczorne słońce kładzie długie cienie, gdzieś w koronach drzew uparcie kuka kukułka. Na cienistym wzgórzu w kamiennym kręgu omszałego muru osiem grobów. Ustawione tyłem do jeziora proste głazy narzutowe, pod którymi spoczywają Reihard Schadow (1906–1927), Otto Schadow (1874–1938) i teściowa Otto Schadowa, matka jego żony Hildegardy, Caroline Risjmann.

Brat Otto Schadowa, Hans Julius Schadow, był profesorem Akademii Sztuk Pięknych w Dreźnie i znanym portrecistą. Otto i Hildegarda Schadowowie mieli dziewięcioro dzieci. Dziedzicem majątku po zmarłym w 1938 roku ojcu został pierworodny syn Ekkehard. Rodzina w roku 1945 uciekła statkiem do Niemiec.

Otto Schadow był też patronem zbudowanego w 1933 roku kościoła katolickiego, który bieleje na wzgórzu między drzewami po drugiej stronie jeziora. Płyną stamtąd, niesione przez wiatr i wodę, strzępki wieczornych modlitw wymieszane z dźwiękiem dzwonów.

– Wiem z opowiadań moich teściów, że rodzina Schadowów to byli szlachetni ludzie. Gdy zaczęła się zbliżać Armia Czerwona, cały majątek ruchomy rozdali pomiędzy mieszkańców wsi – zwierzęta, paszę, sprzęty codziennego użytku i przedmioty luksusowe. Pod koniec gospodarzyli na ponad 500 hektarach, połowę tego obszaru stanowiły lasy i powierzchnie wodne. W majątku był młyn, stajnia z warsztatem kołodziejskim, obora, owczarnia oraz gorzelnia – mówi Wojciech Pestka z Kościerzyny.

Tę historię potwierdza też sołtys Niedamowa, Danuta Szczepańska: – Schadowowie byli tolerancyjni, bardzo związani z miejscową ludnością, dystansowali się od nazistowskich porządków. Tak zawsze opowiadał o nich mój dziadek, który pracował w ich majątku przy koniach. Potomkowie tej rodziny mieszkają teraz w Kanadzie. Kilka lat temu odwiedzili rodzinne strony. Nigdy nie rościli sobie praw do pozostawionego majątku.

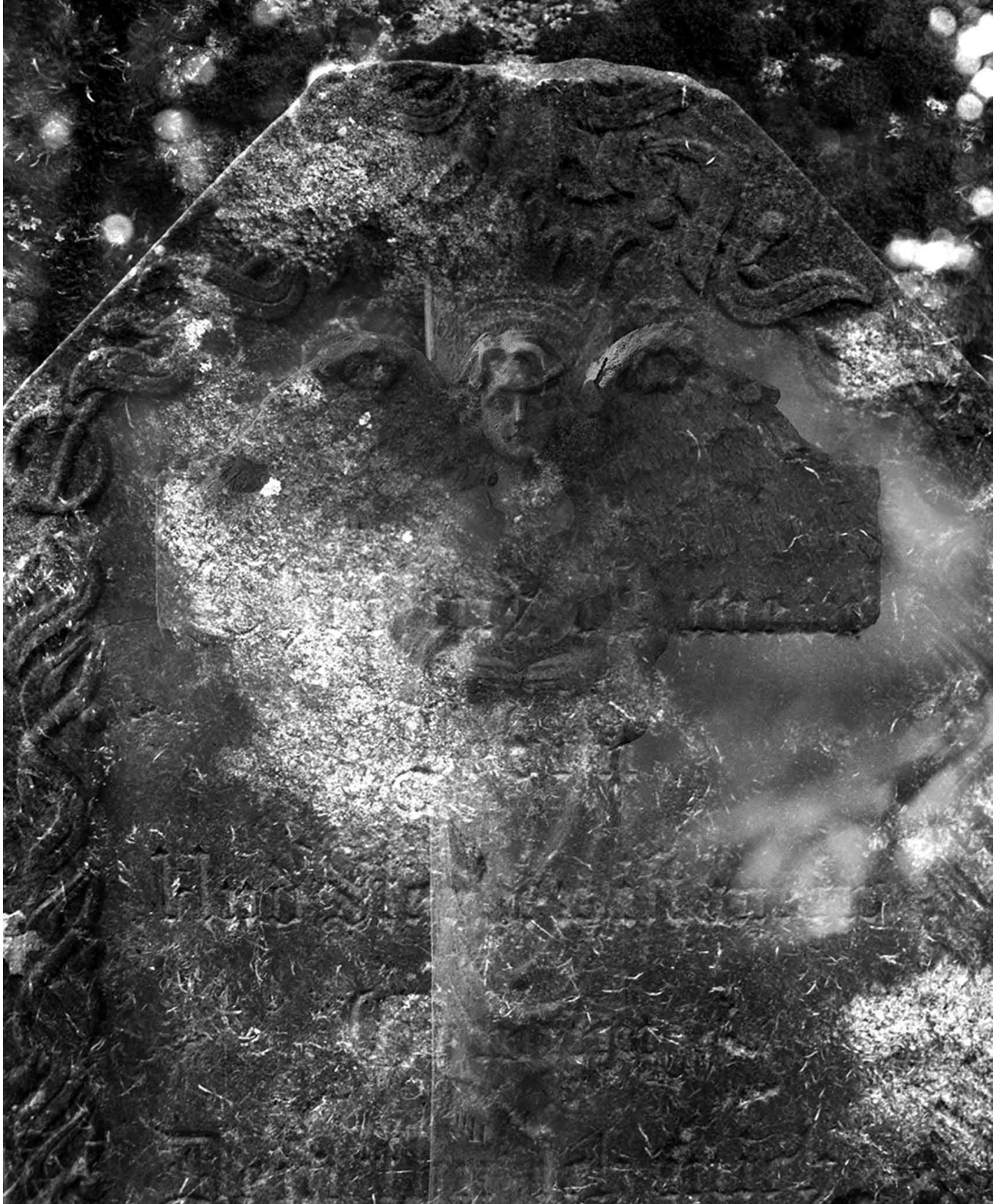

Maria Adamczyk z Nowego Barkoczyna, wnuczka Zofii z domu Anhalt i Antoniego Adamczyka, który był kowalem w majątku Schadowów, gdy pytam ją o to rozdawanie rzeczy, stawia przede mną bez słowa kruchą, amarantową filiżankę na złotych nóżkach, porcelanowy dzbanek, kryształowy pojemnik na perfumy i czarno-białe zdjęcie w finezyjnie wykutej, złoconej ramce. Kim są ludzie na zdjęciu – nie wie.

– Mój dziadek by wiedział, jego często odwiedzali dawni mieszkańcy. Lecz on już nie żyje. Była jeszcze piękna komoda i stół, według mnie też od Schadowów. Komodę dziadkowie sprzedali inkasentowi dawno temu za parę groszy, a stół trafił do dalszej rodziny, pomalowano go zresztą farbą do podłogi. Kiedyś ludzie nie przywiązywali wagi do takich przedmiotów – tłumaczy, podkreślając, że jest miłośniczką staroci.

Wpatruję się w obraz na ścianie naprzeciw, budynek na nim przedstawiony wydaje mi się znajomy…

– Czy to nie pałac Schadowów w Niedamowie? – pytam.

– Być może. Myślę, że ten obraz też jest od nich. Dziadek był w majątku bardzo szanowany. Robił nawet krzyż na ufundowanym kościele – mówi Maria Adamczyk.

Zdejmujemy obraz ze ściany, sygnatury brak. Matka pani Marii, która przysłuchuje się naszej rozmowie, niczego nie potwierdza ani niczemu nie zaprzecza. Czas wiele zatarł w jej pamięci. Regina Treder, która do Niedamowa przybyła z Nowych Polaszek, wspomina, że ludzie opowiadali, że właściciele majątku rozdawali „statki – jak się to kiedyś mówiło".

A w pałacu Schadowów wciąż mieszkają dawni pracownicy pegeeru, park obok trochę zarósł i podupadł. Bruk na alejce porosła darń, a potężny kasztan już pożółkł, choć do jesieni jeszcze miesiąc. Syn Reginy Treder, który często jeździ powędkować nad jezioro, mówi, że cmentarzem ktoś się opiekuje. – Chyba ksiądz z ministrantami tam zagląda, a może i ktoś z gminy robi porządki – dodaje.

W książce *Pogranicza. Stara Kiszewa* Manfrid Baaske wspomina: „Z mojej klasy pewnego dnia zniknęła Hildegard Schadow. Wszyscy myśleliśmy, że zginęła. Ukrył ją jednak nauczyciel, który na co dzień szermował nazistowskimi hasłami". Kim była Hildegard Schadow, czy pochodziła z tej rodziny, czy była to tylko przypadkowa zbieżność nazwisk, nie udało się ustalić.

Lapidaria nie wystarczą

Cmentarz w Babim Dole przy skręcie szosy na Skrzeszewo jest kolorowy i zadbany. W omszałych ramach sztuczne kwiaty, mieszają się z liśćmi konwalii i zielonymi brodami cesarskich lilii. Pośrodku, na polanie wyczyszczonej z chaszczy i krzaków, żeliwny ogródek bez jednego przęsła, na nim tablica Fridricha Fichtego, 1852–1923. Niedaleko kamienna płyta z napisem na grobie Johanna Schmerlinga, urodzonego w 1900, a zmarłego w 1959 roku.

– Schmerling pracował w lesie, był schorowany i wcześnie zmarł, jego żona z synami wyjechała do Niemiec. Wszyscy już nie żyją – opowiada Elżbieta Kordek, z domu Partikel, ewangeliczka, opiekunka cmentarza.

Elżbieta Kordek dzieli cmentarz na dwie części. W górnej leżą Kamyszke w trzech grobach, Wencel, co na minę wszedł, oraz pradziadkowie i dziadkowie pani Elżbiety z domu Partikel. „Betony" na dole należą do rodziny Marzanów, po lewej stronie od wejścia jest też grób ciotki Elżbiety. W 1921 roku we wsi było dwunastu ewangelików – sześciu Kaszubów, sześciu Niemców. Dziadkowie Elżbiety Kordek w domu mówili w plattdeusch. Dwóch ich synów trafiło do Wehrmachtu, a stamtąd do angielskiej niewoli. Po wojnie nie wrócili do wsi, osiedlili się w Niemczech, choć tam brano ich za Polaków. Na gospodarstwie w Babim Dole zostały same kobiety: matka Elżbiety z dwiema siostrami. Z czasem i one dołączyły do nich. Jedynie Elżbieta nie wyjechała, choć wiele razy ją namawiano.

– Tylko tu jestem naprawdę szczęśliwa – mówi. Jak pojadę do Niemiec, to po dwóch tygodniach już tęsknię. Może to i dobrze, bo kto by strzegł tych grobów. Tam, gdzie jest teraz cmentarz, to kiedyś było nasze pole. Ten, co je kupił, dawno by wszystko splantował, gdybyśmy nie pilnowali. Na szczęście nasz cmentarz jest na mapach, a w Skrzeszewie cmentarza na mapach nie było i ksiądz go zlikwidował. Teraz jest moda na lapidaria, lecz one nie wystarczą; dopóki są prawdziwe groby, prawdziwe cmentarze, jest pamięć…

Nie mogłem ich zostawić

Do gospodarstwa Heinza Ziegerta na gowidlińskich pustkach prowadzi pod górę piaszczysta dróżka przez las. Przy starym domu z cegły ogród już jesienny i wielki kasztan, pod nim drewniana ławka, na której wygrzewa się kot. Siadamy przy ciężkim stole w paradnym pokoju, on, jego żona i syn.

– Moi dziadkowie ze strony matki, Martha i Otto Kutschke, gospodarzyli tutaj na 67 hektarach – zaczyna opowieść. – Mieli piątkę dzieci, cztery córki i syna. Syn wyprowadził się jeszcze przed wojną do żony, do Siemirowic pod Lęborkiem, a po wojnie do Niemiec. Moja mama, Amalia Kutschke, wyszła za Ziegerta. Ojca powołano do Wehrmachtu na początku wojny, zginął w Murmańsku pod jej koniec, dwa tygodnie po ostatniej przepustce, miał trzydzieści siedem lat. Władza ludowa upaństwowiła 12 hektarów naszego lasu i zabrała część ziemi. Zostawiono nam tylko około 20 hektarów. Dziadkowie otrzymali obywatelstwo polskie od razu, lecz mojej mamie i ciotkom go nie przyznano, zawieszono je na dziesięć lat. Pewnie liczono, że staruszkowie szybko umrą, a młodsze pokolenie wyjedzie. Jednak dziadkowie się zawzięli i żyli jeszcze długo, dziadek do 1957 roku, a babcia do 1958.

Mąż Marii Szyca ze Stężycy, który pochodzi z Gowidlina, rodzinę Kutschke pamięta z dzieciństwa:

– Byli bardzo pracowici, dzień w dzień wozami zaprzężonymi w ciężkie konie wlekli drzewo z lasu do tartaku w Sierakowicach lub na stację kolejową. W sześćdziesiątych latach byłem dzieckiem, ale mam w oczach te wielkie fury wyładowane aż pod niebo i woźnicę, co zawsze szedł na piechotę obok. Myślę, że tak furmanili, by zarobić na życie. A ludzie im dokuczali, przezywali ich, wołali do nich „Szwaby".

Heinz Ziegert skarżyć się nie chce. Tylko pyta: – Mój ojciec wojnę spędził w Wehrmachcie, za dezercję groziła kula w łeb. A ilu Polaków było w SS, w SA, w policji? Gdy po wojnie poszedł wyrabiać dowód osobisty, na komisariacie milicji obywatelskiej usłyszał, że powinien zmienić imię. Nie zgodził się i tak już zostało.

Cmentarz ewangelicki w Gowidlinie jest rzut kamieniem od gospodarstwa Ziegertów. Gdy tam trafiam już pod wieczór, z zalesionego wzgórza na piaszczystej skarpie zrywają się z krzykiem przestraszone ptaki. Korzenie zwalonych drzew odsłoniły groby i rozbiły tablice, ażurowy krzyż, rudy od rdzy, samotnie trwa na kamiennym postumencie wśród dzikiej zieleni. Na grób Otto i Marthy Kutschke spadły gałęzie, w półmroku czytam, że Martha była z domu Schnaase.

– Mój ojciec w czasie wojny przyjaźnił się ze „Schnyzami", zawsze jeździł do nich albo do Budników. W 1945 roku „Schnyza" w strachu przed Rosjanami zastrzelił siebie, żonę i dwójkę dzieci. We wsi było pięć, sześć rodzin ewangelickich, młodzi wyjechali, a starzy zostali, chcieli tu umrzeć – mówi Maria Grucza z Gowidlina, rocznik 1936.

Ciotki Heinza Ziegerta: Teresa, Chulda, Erna, nie ułożyły sobie życia, ich groby są na cmentarzu katolickim w Sierakowicach, tak samo jak grób jego matki Amalii Ziegert.

– W tym miejscu wcześniej był cmentarz ewangelicki, lecz go splantowano w drugiej połowie lat siedemdziesiątych – tłumaczy Heinz Ziegert. Jeszcze w 1976 roku pochowaliśmy na nim ciotkę Ernę, gdyż w Gowidlinie pochówki zostały zabronione. Musieliśmy potem prosić księdza katolickiego, by świeżego grobu nie równał. Wysłuchał nas. Kościół ewangelicki w Sierakowicach, do którego przynależał cmentarz, najpierw miał być rozebrany, a ostatecznie oddano go katolikom, lecz żadnej tabliczki, kto go wystawiał, komu wcześniej służył, na nim nie ma.

Na cmentarzu też nie ma informacji o tym, że służył wcześniej Lutrom.

Gdy pytam się Heinza Ziegerta, czy nie chciał wyjechać, nagle wybucha płaczem, jakbym dotknęła bolesnej zadry ukrytej gdzieś głęboko.

– Ależ chciałem! Może tam byłoby inne życie! Lecz dziadkowie, mama, ciotki nie chcieli. Nie mogłem ich tak zostawić! Na tym gospodarstwie trwa już piąte nasze pokolenie.

Okno na wietrze

Pozostałością po cmentarzu ewangelickim w Stężycy jest pusta działka przy szosie, obrośnięta ściśle młodymi choinkami, gdy przeciskam się między nimi, zahaczam nogą o metalowy występ po ogrodzeniu w rogu, to jedyny ślad. Lecz ceglana „kircha", zabytek kultury z lat 1890–1907, czerwienieje jeszcze dumnie wśród dzikiej zieleni. Między przyporami wyrosły klony samosiejki, w szczelinach kamiennych schodów rozpleniła się babka lancetowata, pająk uwił pajęczyny wokół starej lampy w przedsionku. Wicher smaga korony topoli, tłucze otwartym oknem na wieży.

– Dzień w dzień tak nim stuka – mówi starsza kobieta z domu nieopodal. Gdyby żył nasz sąsiad, co zawsze trawę tu kosił i zbierał gałęzie, to na tę wieżę by się wspiął i okno zamknął. A tak wszystko niszczeje. Kościołem lata temu zarządzał ks. Stanisław Pikor z Gdyni, organizował nawet kolonie dla dzieci w tym budynku, co zawalony obok leży. Na ewangelickiej plebanii długo był urząd gminy, obecnie są mieszkania na wynajem. Raz przyjechał tutaj wójt z naszym biskupem, obfotografowali wszystko i tyle. Cmentarz niemiecki naprzeciw splantowano, przedtem często chodziliśmy tam stroić groby…

– W Stężycy, tam gdzie cmentarz, teraz są działki, gdy dowiedzieli się o tym potomkowie pochowanych, byli oburzeni – dodaje Anna Ligmann z Szymbarka.

Życie jak Mantel

Na poniemieckim cmentarzu w Wierzchucinie Hildegarda Labudda porządkuje grób swojej babki. Na rowerze przywiozła plastikowe wiaderko, płyn do mycia naczyń i wodę w butelkach. Sztuczne kwiaty zebrane z rodzinnych grobów na katolickim cmentarzu wkłada do wiaderka z wodą, starannie opłukując z kurzu. – Nowych szkoda, bo i tak pokradną – tłumaczy. Płytę też wymieniła, matce, która leży na katolickim, kupiła nową, a babce położyła tę z grobu matki.

– Dawniej na nasz cmentarz przychodziło się ukradkiem, potajemnie, o zmroku, tak żeby nikt nikogo nie widział. W ciemnościach przedzierało się przez krzaki, a o zapaleniu lampki na grobach strach było nawet pomyśleć. Tylko złodzieje mieli używanie – podkreśla.

Hildegarda Labudda mówi, że jej życie jest jak ten „Mantel", płaszcz, noszony raz na jedną, raz na drugą stronę. Z domu nazywa się Mach, w latach pięćdziesiątych zmieniono im nazwisko na polsko brzmiące „Machowski". Nazwiska tylko ojciec nie przyjął. Potem wyszła za Labuddę, Kaszubę z Oksywia. W latach osiemdziesiątych pierwsza do Niemiec wyjechała jej siostra. Niemiecki Czerwony Krzyż sfinansował leczenie jej chorego na białaczkę syna, za nią wyjechali pozostali krewni.Tylko ona została, trochę dla siebie, a trochę dla matki, która, choć wyjechała, nie chciała spocząć w obcej ziemi. Umarła tu, w Wierzchucinie, podczas świąt u córki. Hildegarda kilka razy w roku jeździ do Niemiec, lecz gdy zaczyna się trzeci tydzień pobytu, nagle ogarnia ją niepokój. Brak jej morza, przestrzeni i tej prostoty życia tutaj. Pakuje więc walizki i wraca do Wierzchucina.

Siedzimy na trawie, przy grobie jej babki Marty Tworke z domu Milke, która zmarła w wieku pięćdziesięciu sześciu lat. W październikowym słońcu wszystko się mieni. – Dopóki my żyjemy, pamięć o nich tutaj nie zaginie – mówi Hilda, a wiatr porywa jej słowa zduszone gdzieś w gardle i gna z nimi nad mogiłami w złotej kurzawie liści.

Ludzie mówią, że Marianna Okoń z Wierzchucina dwadzieścia dwa razy składała prośby o wyjazd do Niemiec i dwadzieścia dwa razy dostawała odmowę. Ona sama ani nie zaprzecza, ani nie potwierdza.

– To wszystko już przeszło. – Macha ręką, jakby chciała odpędzić to, co minione. – Mojej mamy to nawet w urzędzie nie chcieli obsłużyć. „Idź i naucz się polskiego", słyszała. Naszą kirchę po wojnie zamieniono na magazyn nawozów sztucznych, potem dostaliśmy zgodę na jej użytkowanie. Wysprzątaliśmy kościół,

ustawiliśmy ławki, odbyła się w nim nawet konfirmacja w 1962. Lecz miejscowym chuliganom to było nie w smak, potłukli szyby, wyłamali drzwi. Pastor zaczął więc przyjeżdżać do Brzyna, gdzie mu kaplicę urządzono w mieszkaniu. W 2010 roku przeszedł na emeryturę i już nie przyjeżdża, zresztą w Brzynie wszyscy powymierali. Zostałam tu sama jak palec. Naszą kirchę podobno kupił ktoś z Warszawy, postawił płot. Mąż katolik do swojego kościoła chodzi, dzieci i wnuki też katolickie. Chciałabym mieć tylko pewność, że ślad po tych, co kiedyś tu żyli, nie zaginie...

Na cmentarzu, niedaleko pomnika Marty Tworke, są groby rodziny Cholka. Margot Cholka, rocznik 1933, zmarła w 1996; Zygmunt Cholka, rocznik 1935, zmarły 24 listopada 2011; i ich syn Zygfryd Cholka, urodzony w 1960, a zmarły tragicznie w 2005 roku. Z całej rodziny została tylko Dana Cholka, która mieszka niedaleko Okoniów, sama w środku lasu.

Bóg jeden wie, dlaczego rodzina Cholka przed laty przystała do świadków Jehowy.

– Pewnie byli im bliżsi, gdyż wielką wagę przywiązują do Biblii, może też u nich szukali wspólnoty, a może nie chcieli być pochowani na katolickim cmentarzu – zastanawiają się ludzie.

Gdy zaglądam do Dany, jest już ciemno, śnieg skrzypi pod butami, za drzwiami ujadają psy, w stajni niespokojnie rżą konie. Dana zaprzęga je do wozu z budą i w sezonie wozi turystów do Białogóry na plażę. Przez kilka miesięcy musi zarobić na całoroczne utrzymanie.

Tuż przed śmiercią ojciec Dany poprosił ją, by obwiozła go tym wozem po okolicy. – I tak się pożegnał ze swoim światem, a ja spełniłam jego życzenie – mówi cicho Dana.

PS. W Brzynie mówią, że Hildka Labudda zmarła w tym roku. Dana nadal wozi turystów na plażę. Lipy wokół kirchy tak się rozrosły, że prawie ją zasłoniły, na płocie tabliczka: „teren prywatny, wstęp wzbroniony, uwaga zły pies”.

Sezon na złomiarzy

Do cmentarza w Będominku z XVIII wieku od gospodarstwa Małachowskiego z Zielenina prowadzi wąska, polna droga z szlaczkiem darni pośrodku, najpierw wije się malowniczo, a potem wspina się do złotego jesienią wzgórza. Na tablicy informującej o programie rewitalizacji starych cmentarzy w gminie Kościerzyna czytam, że zachował się tu jeszcze żeliwny krzyż z epitafium. Na darmo szukam tego krzyża, za to znajduję słup odlewowy z miejscem na tablicę w formie drzewa z odciętymi konarami. Przysiadam na omszałym kamiennym wale, który opasa niżej położony cmentarz. Zmarli śpią w nim jak w kołysce. Cicho spadają liście, gdzieś daleko jęczy piła, wieczorne światło ma kolor bursztynu.

– Jakieś piętnaście lat temu był tu sezon na złomiarzy, wszystko pokradli – mówi napotkana po drodze kobieta.

Dzécze Jachte

Nad grobem Otto Smaliana na ewangelickim cmentarzu leśników na Bukowej Górze pod Bytowem dwustuletnie nieśmiertelniki mokną w deszczu. Wspinam się po śliskim zboczu w zielonym półmroku. Cisza, tylko senny szelest kropli na liściach. Tekst inskrypcji od frontu brzmi: „Tu pod tym kamieniem w swoim ukochanym gaju spoczywa Otto Heinrich Smalian, nadleśniczy królewski urodzony w 1827 roku w Stralsundzie, zmarły w 1874 w Zerrin [Sierżno]".

Z tyłu pomnika napisano: „Szlachetnemu człowiekowi honoru, serdecznemu przyjacielowi ludzi, niezmiennie wiernemu obowiązkom w służbie leśnej. Niestrudzonemu opiekunowi lasów przez 14 lat powierzonych jego opiece, które w swej niezmordowanej gorliwości oczyścił, uszlachetnił, powiększył. Dał potomności zasłużone świadectwo, za co stawiamy mu ten pomnik, krewni, towarzysze pracy, przyjaciele, admiratorzy".

Gdy schodzę, mężczyzna z piłą na ramie roweru zaprasza do domu w osadzie Pyszno u podnóża Bukowej Góry. Ulewa bije o szyby, zapach parzonej kawy skłania do pogawędki.

– Wiele tajemnic kryje ten cmentarz – zaczyna opowieść. – Gdy przyjechałem tutaj w sześćdziesiątych latach, krążyły o tym miejscu niezwykłe historie. Pewnego dnia i mnie przytrafiła się taka. Gdy pod wieczór wracałem z wyrębu, na ścieżkę przede mną wyskoczył duży ptak, bażant albo głuszec, cały piękny i kolorowy. Zaciekawiony podążałem za nim aż na sam szczyt i tak dotarłem do grobu Otto Smaliana. Po lasach szeptano, że Smalian do masońskiej loży należał i że z „diabłem się zadał". Stara Metlowska zarzekała się nawet, że gdy umarł, to łóżko trzy razy podskoczyło. Podobno dobry był z niego człowiek, lecz miękkiego serca, i mądry bardzo. Potrafił zmierzyć, ile kubików ma chójka jeszcze w lesie rosnąca. Jednego razu nasłali na niego inspektorów, co wykryli niby defraudację. Smalian całą noc w papierach grzebał, szukając błędu, a gdy go nie znalazł, w łeb sobie strzelił. A potem wyszło, że inspektorzy się pomylili. Jako samobójcę Smaliana nikt w poświęconej ziemi chować nie chciał, więc jego przyjaciel Friedrich Olberg stworzył dla niego ten leśny cmentarz. Sam na nim spoczął obok niego cztery lata później. Niezwykła była ta ich przyjaźń, poznali się w wojsku w korpusie cesarskich kurierów. Gdy Olberg został nadinspektorem i lustratorem lasów królewskich Rejencji Koszalińskiej, choć podlegało mu 50 tysięcy hektarów lasów, najczęściej zaglądał do nadleśnictwa Zerrin, gdzie nadleśniczym był Smalian...

Na Bukowej Górze jest trzydzieści jeden grobów z żeliwnymi krzyżami z XIX wieku, ostatni pochówek na cmentarzu miał miejsce w 1939 roku. W czasie wojny krzyże miały zostać przeznaczone na cele militarne, SS-manom, którzy po nie przyjechali, sprzeciwiła się Anna Ernst, żona ówczesnego nadleśniczego.

– Podobno leżą tam jeszcze inni, co gwałtowną śmiercią zeszli z tego świata – ciągnie mężczyzna. – Pewien „lesny", który swoją śmierć przepowiedział i wypił wino z cisu. Drugiego na bagna zwiodły „Utopce". Oj, wiele w tych lasach dziwnych rzeczy się działo. „Zły" nie śpi. O trzech „Hexach", co mleko potrafiły zepsuć, zawsze opowiadała moja babka. Mój ojciec opowiadał nam o służącej Krauzego, której diabła zadano. We wszystkich językach krzyczała strasznie. Jak ją wieźli do kościoła w Niezabyszewie, to koła bryki zamiast do przodu to do tyłu się kręciły i dym z nich szedł. Cztery konie całe w pianie nie mogły jej uciągnąć. Ksiądz podczas cichej mszy egzorcyzmy bez przerwy odprawiał. Mówił temu diabłu, że ma z niej wyjść, jak wlazł, lecz ten opór stawiał, rycząc strasznie. Gdy po godzinie kobieta do siebie przyszła, usiadła i zapłakała. Krauze potem na katolicyzm przeszedł i zamieszkał w Gdańsku, zginął w czasie bombardowań miasta w 1945 roku. Księdza, co diabła wypędził, zabili Rosjanie w Lęborku. Dwa granaty przed ołtarz rzucili, gdy ten bronił kobiet przed zgwałceniem. Tu niedaleko w lesie jest też grób młodej dziewczyny, którą zgwałcono w 1945 i zastrzelono zaraz po tym.

Od tej krzywdy ludzkiej czasem, jak daleko w las się zapędzisz, zrywają się nagle Dzëcze Jachte. Robi się smród, huk, hałas straszny, jakby kto kamień „karował", psy szczekają, drzewo rąbią, trąbią, bębnią złe moce. Biada temu, kogo dopadną. Może nawet rozum stracić. Leon Bornus z Bytowa w sześćdziesiątych latach przeżył w biały dzień Dzëcze Jachte, gdy był na grzybach, i nerwy mu całkiem wysiadły...

Jedna górka kwiatów

W Nowym Barkoczynie zegar na wieży poewangelickiego kościoła powoli wybija południe. Cisza jak makiem zasiał. Długo, majestatycznie biją kościelne dzwony. Za pogrzebową kaplicą cmentarz katolicki, przy niej wśród starych, przyschniętych żywotników kilka grobów dawnych mieszkańców wsi. Resztę splantowano, a teren porosła trawa, dziś ładnie przystrzyżona. Na białych, owalnych, porcelanowych tabliczkach nazwiska: Gustaw Adolf Doering, 1849–1920; Emma Doering-Finger, 1886–1946; Gertrud Prill-Doering, 1896–1926, Oskar Prill, 1884–1928; Brigitte Kluck, 1941–1942. Jest jeszcze cmentarz na górze przy szosie, naprzeciwko jeziora. Groby przy kościele ocalały, gdyż opiekuje się nimi Lucyna Ciecholewska z domu Hoppe.

– Żyje jeszcze w Hanowerze Ruth Prill, wykształcona kobieta, pochodziła z gospodarstwa tutaj, ma dziewięćdziesiąt dwa lata. Utrzymujemy kontakty – mówi Lucyna Ciecholewska. – Dałam jej adres księdzu, pomaga finansowo w restauracji kościoła, zawsze ten kościół wspierała. Nowy proboszcz się stara, lecz dawniej różnie bywało. Parafia katolicka powstała u nas w 1957 roku, w świątyni były boczne chóry, lecz je zdjęto, ławki opiłowano. Pod kościołem była krypta, tam złożono rozmaite, stare książki, pięknie ilustrowane, wszystko to zostało zniszczone i popalone. Dawniej na cmentarzu cudnie było, jedna górka kwiatów w ogródkach zamkniętych żeliwnymi płotkami. Kwiaty były naturalne, a nie sztuczne, wiosną przepięknie kwitły tulipany. Zawsze jak szłam odwiedzić babcię i ciocię, to przystawałam, żeby podziwiać ten widok. Teraz tam ani jednego płotka nie ma. Sama jestem Polką i może nie powinnam tak mówić o swoich, lecz grabież cmentarza była barbarzyńska, ludzie kopali i kopali, szukając nie wiadomo czego.

Pani Lucyna urodziła się w miejscowości Kula-Młyn niedaleko Będomina. Jej czterej bracia trafili do Wehrmachtu, najmłodszy miał piętnaście lat, gdy go zabrali. Wcześniej był świadkiem egzekucji trzydziestu Żydówek z Węgier w będomińskim lesie, wieźli je wozem drabiniastym na miejsce straceń.

– Mieszkaliśmy w biednej chatce, było nas dwanaścioro – ciągnie. – Gdyby nie Frau Krüger z gospodarstwa obok, to nie wiem, jakbyśmy tę wojnę przeżyli. A w 1945 roku wyrzucono ją jak psa. Jak ci Rosjanie ją poniżali. Jeszcze przyszła się do mojej mamy się pożegnać i pojechała. W jednej koszuli odeszła, tylko w tym, co miała na sobie.

Prillowie, Doeringowie i Krügerowie byli spokrewnieni i dlatego Lucyna Ciecholewska oddaje do dziś dług wdzięczności, dbając o ich groby przy kościele. Czasem świeczkę idzie zapalić, czasem posadzi kwiatka albo ozdobne liście. O cmentarz na górce dba też p. Łukowicz, co mieszka na pastora działce.

Bóg jest jeden

Do cmentarza w Brzynie prowadzą stare dęby i brzozy po obu stronach polnej dróżki. Kiedyś rosły tu krzaki bzów, których przejmujący zapach w maju roznosił się po okolicy. Do dziś zachowała się cisowa aleja, która dzieli cmentarz na dwie części. Po prawej stronie od wejścia pod polnym głazem spoczywają Eckhard Karl Hugon Fliessbach urodzony w roku 1872, a zmarły w 1940, właściciel majątku, i Hauptmann der Landwehr oraz fundator cmentarnej kaplicy (1935), której solidne, kamienne mury widać na przestrzał z daleka. Po lewej stronie kilkanaście zadbanych grobów, niektóre w sztucznych kwiatach, inne obsadzone żywymi. Powtarzające się nazwiska, pochówki stosunkowo niedawne: Elfrida Roesner (1900–1984), Elfriede Rösner (1932–1994), Fritz Roesner (1935–1995), Olga Jackowitz (1901–1966), Albert Jackowitz (1874–1958), Lina Krutz (1890–1964), Maria Krutz (1889-1961), Meta Schmaltz (1895–1979), Teodor Schmaltz (1893–1972).

Dziewięćdziesięcioletnia Helena Koss z Brzyna szczególnie pamięta rodzinę Roesnerów.

– Roesnerowa mówiła, że wyjeżdżać z Brzyna nie zamierza, że tu jest jej Heimat. Jeden z jej synów wyjechał, lecz Fritz i Friedka zostali. Friedka mieszkała z matką, a Fritz się potem przeprowadził do domu po Niemcu, co w 1945 roku swoją rodzinę w lesie zastrzelił. Fritz pracował jako tokarz w pegeerze w Prusewie, dobry był z niego fachowiec. Miał takiego przyjaciela Jasia, z którym *fein* po polsku mówił, ale ze mną zawsze rozmawiał po niemiecku. Gdy zachorował, dwa tygodnie się nim opiekowałam, aż do śmierci. Mój mąż Franek był niezadowolony. „Ludzie będą mówić, że ty do Fritza chodzisz" – narzekał. Friedka zmarła przed bratem, chorowała na gościec stawowy. Dorabiała jako krawcowa, nieraz mnie pytała, czy nie mam czegoś do szycia. Ponieważ mój mąż przy obrządku krów w majątku pracował, co go na pegeer zamienili, to gdy szłam po mleko, zawsze brałam go więcej dla Friedki. Tak zostałam wychowana. Moja mama powtarzała, że każdego w nieszczęściu przyjąć trzeba, bez względu na to, skąd jest, a nie śmiać się czy naigrawać. Roesnerowa przed śmiercią prosiła mnie, żeby ją umyć i do trumny ubrać. Jak bym mogła odmówić, nigdy się nie bałam ani żywych, ani umarłych.

Helena Koss pochodzi z Odargowa pod Żarnowcem.

– Tam Niemcy i Kaszubi wszyscy razem żyli. Chodziłam trzy lata do polskiej i cztery do niemieckiej szkoły. Wszyscy byliśmy z jednej biedy, w drewniakach i połatanych koszulach na lekcje lataliśmy. Tylko nauczyciel, gdy usłyszał, że rozmawiamy po polsku, nieraz kazał nam sto razy napisać: *Ich soll nicht polnisch*

sprechen. Mieszkała w Odargowie ewangelicka rodzina Krawicky, mieli dwóch synów na wojnie, a w swoim chlewie przez kilka lat ukrywali naszych czterech partyzantów-dezerterów, co się do Wehrmachtu nie zgłosili. Dogadali się z ich rodzinami, że te tylko jedzenie przynosić im będą. Kto by się spodziewał, że Niemiec Polaka będzie chować. Ci, co się ukrywali, przeżyli, a starszy syn Krawickich na froncie zginął. Po wojnie mama pomagała tej rodzinie, kartofle dla nich kopała, żeby mieli co jeść. Wyjechali do Niemiec w roku 1947.

Na pogrzeby w Brzynie chodziła cała wieś, ewangelicy na katolickie, katolicy na ewangelickie.

– Prawie wszyscy byli na pogrzebie Mety Schmaltz w 1979 roku – dodaje pani Helena. Ksiądz ewangelicki odmówił *Ojcze nasz* razem z obecnymi i piękne kazanie wygłosił. Potem wspólnie śpiewaliśmy, gdyż oni znali nasze katolickie pieśni, a my ich ewangelickie. Wcześniej, gdy zmarł mąż Mety, Teodor Schmaltz, też byliśmy na jego pogrzebie. Schmaltzowie mieli niewielkie gospodarstwo, jednego konia. Niemłody już gospodarz nogę złamał, a w szpitalu mu jej nie złożyli i umarł. Olga Jackowitz, albo Jachwitz, była starą panną, mieszkała u krewnych, Srocków, na dole wsi, tam, gdzie Karl teraz mieszka. Srockowie są spokrewnieni z rodziną Goyke, która się obecnie cmentarzem opiekuje, matka Karla i Erniego była od Srocków, zawsze rozmawiała ze mną po niemiecku, na tym cmentarzu spoczywa ich babka. Na pogrzebach Srocków również byliśmy, Bóg jest jeden.

Irena Błażejewska, która do Brzyna przyjechała przed kilkunastu laty i prowadziła w wiosce świetlicę, podkreśla, że szczyci się przyjaźnią z Heleną Koss: – Prości ludzie, jak oni pamiętają – mówi.

W kronice świetlicy pod datą 4 kwietnia 2001 czytam:

„Porządkowaliśmy cmentarz ewangelicki, z kaplicy zostały tylko mury, zamiast dachu są tylko połamane listwy. Padający deszcz leci bezpośrednio na duże granitowe płyty. Po oknie została dziura, ktoś je kiedyś ukradł.

– Gdy wójtem naszej gminy był Henryk Doering, cmentarz uporządkowano, odbudowano kaplicę, zrobiono ogrodzenie. Teraz znowu przydałyby się generalne porządki – mówią we wsi.

Sprawa o deskę

Kazimierz Literski z Nowego Podlesia pamięta wielu ewangelików z czasów swojego dzieciństwa: – Był Horst i Rudi, moi przyjaciele, z którymi krowy pasłem, dyrektor szkoły Eberhard Kuźniak, Kuźniakom moja mama robiła pranie, i nauczycielka Frau Blum. No i wreszcie był Miller, wpływowy posiadacz ziemski, u którego bywali funkcjonariusze z SA i z SS – wylicza. – To on pierwszy raz naszą rodzinę uratował. A poszło o deskę na koryto do rozczynu chleba. Ojciec kupił ją od chłopa ze wsi. Gdy okazało się, że została skradziona Millerowi, poszedł do Niemca i zapłacił za nią dwanaście marek. Lecz policjanci nie chcieli przystać na takie rozwiązanie. Wtedy Miller, aby nas chronić, wymyślił karę: cała rodzina miała kopać kartofle u niego przez cztery dni. Jak skończyli, Miller dał im pół chleba, kosz jabłek i naręcze kiełbasy. Mieszkaliśmy u furmana Daleckiego, mamy brat też u niego furmanił. Żona Daleckiego romansowała z niemieckim policjantem, pewnego razu brat mamy stał się świadkiem ich schadzki. Dalecka w obawie, że sprawa się wyda, napuściła na naszą rodzinę tego policjanta. Ojca dwa razy wieziono na rozstrzelanie do lasów w Rotembarku i dwa razy uciekł z transportu, otwierał po prostu drzwi samochodu na zakręcie i dawał nura w las. A Niemcy do lasów nie wchodzili, bo się bali. Potem całą naszą rodzinę wywieziono na pół roku pod Lublin, pamiętam, że wieś nazywała się Kaszanka. Gdy wróciliśmy, ojca powołano do Kriegsmarine. Jak jechał z ostatniej przepustki w kwietniu 1945 pociągiem z Kościerzyny do Gdańska, to chciał zdezerterować, nie zdążył, w Pruszczu złapali go Rosjanie. Trafił na Ural, a ponieważ znał niemiecki i rosyjski, został tłumaczem. Wrócił w październiku 1949 roku dzięki żonie rosyjskiego majora. Kobieta miała rodzić, ojciec jej siennik świeżą słomą napychał, a przy tej robocie opowiedział jej o swojej rodzinie i majorowa się wystarała, żeby go puścili.

Jan Literski, ojciec Kazimierza, zmarł w Podlesiu Nowym w 1987 roku. Miller wyjechał w roku 1945, podobnie jak Horst i Rudi. W Polsce został tylko ich kuzyn Gerard, który mieszka w Lipuszu.

Taki piękny ptaszek tam śpiewa

Taki piękny ptaszek tam śpiewa w starych drzewach, słyszę go codziennie rano w moim domu – mówi Elżbieta z domu Block ze Szponu, gdy pytam ją o cmentarz.

– Jako dzieci baliśmy się obok niego przechodzić, przebiegaliśmy szybko z zamkniętymi oczami, nie oglądając się za siebie, bo ciągle nam powtarzano, że tam leżą Niemcy, co Polakom dużo krzywdy uczynili. Jeszcze wtedy cmentarz nie był zniszczony, prowadziła do niego solidna brama od drogi, co na Grabowską Hutę leci. Wokół stały kute żeliwne płotki i kapliczka ceglana. Od tej kapliczki zaczął się szaber, powoli, z miesiąca na miesiąc, z roku na rok, zaczęły znikać marmurowe tablice, żeliwne krzyże, kamienne płyty, aż zostały tylko zarośnięte puste groby.

– W czasie wojny naszą wsią trząsł Hermann Wruck – dodaje koleżanka kobiety. – Z bindą SA-mana po Szponie chodził. Był zamieszany w aresztowanie pięćdziesięciu osób w Lipuszu, z których kilkanaście rozstrzelano w lasach koło Karpna.

– Jednak Praksedę od Dejów uratował – wtrąca Elżbieta. – Prakseda to była mądra dziewczyna, cała rodzina Dejów to byli inteligentni, oczytani ludzie. Miała trafić na roboty do Niemiec, jednak Wruck załatwił jej pracę służącej w Gdańsku, niedaleko Zbrojowni. Lecz to go nie usprawiedliwia. Jak po wojnie przyjechali do nas jego potomkowie, to mój dziadek kazał im z podwórka się wynosić. Krzyczał, że nie chce mieć nic wspólnego z dziećmi mordercy. Tylko że te dzieci nie wiedziały, co robił tu ich ojciec…

Jan Jażdżewski, co naprzeciw cmentarza mieszka, też o Wrucku wiele złego słyszał. – Ludzie opowiadali, że pistolet przy sobie nosił, z którego nieraz strzelał dla postrachu i na pogrzebach. Dzieciakom kazał się kłaniać w pas i rękę podnosić w hitlerowskim pozdrowieniu. A jak tego nie robiły, to batem je lał.

Przysiadamy na resztkach cegieł z cmentarnej kaplicy i oglądamy stare dokumenty: *Arbeitsbuch* wystawiony na braci Lucjana i Józefa Jażdżewskich, ich wspólne zdjęcie w mundurach Wehrmachtu. Zanim tam trafili, ukrywali się, przez co ich rodzina trafiła do Stutthofu.

– Wtedy dziadek list do synów napisał, by się zgłosili, i wszyscy zostali zwolnieni. A ojciec i jego brat wojnę przeżyli. Już po Niemcach w Szponie ślady się zacierają, została tylko studnia na mojej działce, nadal jest w niej woda czysta jak łza i ten cmentarz, co kryje wiele tajemnic. Ludzie opowiadają, że pod koniec wojny Niemcy przywieźli tu i zakopali metalowe skrzynie; co w nich było, nie wiadomo, może i nawet

bursztynowa komnata, która zaginęła, kto wie. Ostatni pochówek na cmentarzu był pod koniec siedemdziesiątych lat. Pewnego razu o czwartej nad ranem obudziło nas szczekanie psa. Pod cmentarz podjechała furmanka, wyniesiono z niej małą skrzyneczkę i gdzieś, o tu, w tym miejscu, pogrzebano. Pewnie było to dziecko tych Lutrów, co zostali, może w domu się urodziło i zmarło, i dlatego je tutaj przywieźli. Potem ktoś lampki długo w tym miejscu palił...

Wokół nieśmiało błękitnieją pierwsze fiołki, wychylają z ziemi główki cesarskie korony, wśród zeszłorocznych liści bieleją kępy zawilców. Łaciaty kot, powsinoga, skrada się między prostymi drewnianymi krzyżami, które, jak opowiada Jan Jażdżewski, postawiło niedawno jakieś niemieckie stowarzyszenie.

– Pani zajrzy jeszcze do Eli od Blocków, jej matka Niemką była, czasem córka Wrucka do niej przyjeżdża – woła za mną na odchodnym.

Zgubione szczęście

Był 8 kwietnia 1945 roku, gdy uciekinierki z gdańskiej Oliwy Irene Halba ze swoją siostrą Elizabeth i matką szły obok starej szkoły w Egiertowie. Nagle szosą nadjechali Rosjanie. Irene, wysoka, smukła o pociągłej twarzy i ciemnych włosach gładko zaczesanych, zwróciła ich uwagę. Siostra z matką trzymały ją za ramiona mocno. Strzału właściwie nikt nie słyszał. Ludzie pamiętają tylko, że Irene jakby przyklękła, jakby zachwiała się lekko. Jej ciało zawinięte w biały całun pochowano na ewangelickim cmentarzu w Egiertowie, na samym jego skraju od strony pola, tam gdzie stoi metalowy krzyż. W sierpniu 1945 roku skończyłaby czterdzieści lat, z zawodu była nauczycielką.

Józef Kleina, mąż Marty, stracił jesienią 1939 z rąk okupanta dwóch braci – Janka i Bernarda. Jego ojca pobito i odesłano do domu. Gdy leżał w łóżku co chwila zaglądał do niego Niemiec Manzke, prosząc, by obciął mu włosy. Chory dał się namówić. Na drugi dzień go zabrano i słuch o nim zaginął.

– Jakby mu tych włosów nie obcinał to by żył – upiera się Marta Kleina. – A wszystko przez tych, co wybijali Niemcom szyby. Ci namawiali przeżyli, a pozostali głowy położyli.

Resztę rodziny Kleinów przed rozstrzelaniem uchronił ich sąsiad, Niemiec Murzle. Gnano już ich do stodoły, gdy Murzle zastąpił drogę oprawcom. Jego córki do dziś odwiedzają Egiertowo. Marta Kleina pokazuje zdjęcia: Emilore Murzle przed starą szkołą, Emilore z dziećmi. Z fotografii uśmiecha się młoda kobieta w letniej sukience.

Egzekucję kaszubskich mieszkańców Egiertowa w 1939 roku nadzorował niejaki Gabler, który nosił czarny mundur SS. Pewnego dnia do oczekujących na śmierć mężczyzn zaszła jego żona i zaczęła naśmiewać się z uwięzionych. Wtedy jej mąż wpadł w straszny gniew: „Tu jest bardziej do płaczu niż do śmiechu! – wykrzyczał jej w twarz.

Gabler przepadł gdzieś na wojnie, lecz jego słowa zostały w ludzkiej pamięci, tak jak został w niej na zawsze śmiech jego żony.

Pewnej wojennej zimy przywieziono do Egiertowa trzydziestu Żydów. Odśnieżali drogę na Kościerzynę, rękoma owiniętymi w szmaty. Gdy Marta Kleina szła do karczmy po korki do „flaszy" , oszalała z głodu Żydówka wyrwała jej torbę. Po tym wydarzeniu jej matka zapytała Niemca Englendera, który nadzorował Żydów, jak im pomóc. Poradził, by wiejscy chłopcy nakładli chleba za pazuchy i rzucali go ukradkiem

pracującym. Zostawiano też po obiedzie naczynia z niedojedzoną zupą. Nigdy potem nie widziałam tak wylizanych talerzy – mówi Marta Kleina.

Nad cmentarzem w Egiertowie górują strzeliste modrzewie, między nimi złocą się klony. Rósł tu jeszcze stary buk pośrodku, lecz zwaliły go wichury. Kamienny murek porosły mchy. Ktoś na grób Charlotte Marezinke położył tablicę Edgara Zastrowa. Na szarym kamieniu okruch białego marmuru po urwanej figurce. Charlotte i Edgar żyli krótko, umarli w wieku niemowlęcym w 1919 i 1921 roku. *Verlorenes Glück* napisano na nagrobku Charlotte Marezinke. Marta Kleina pamięta „Marcinków", wyjechali tamtej, strasznej zimy , gdy czołgi radzieckie parły kościerską szosą górą, miażdżąc ludzi konie i wozy, a ręce tratowanych upiornie machały w ostatnim pożegnaniu.

Już trzecie pokolenie Kleinów strzeże poniemieckiego cmentarza w Egiertowie. Czasem też ze zniczami zajrzą szkolne dzieci. Marta Kleina chodzi tam rzadko. Po tym , jak na grobie Irene powiesił się młody chłopak, jakoś straszno jej tam iść. Prosi więc Boga o spokój duszy tego chłopca i o spokój duszy Irene, których drogi tak dziwnie się przecięły. Odeszli nagle w pełni swojego życia, *Verlorenes Glück...*

Cukierek do ręki

Wen wir fahren, Wen wir fahren gegen Engelland. Gib mir deine Hand, deine weisse Hand – z taką pieśnią, z faszystowskimi flagami konno wjeżdżali Niemcy we wrześniu 1939 do Nowych Polaszek, a nas, Kaszubów, oblatywał strach, płakaliśmy z tego strachu – opowiada Regina Treder. – Niemców dzieliliśmy na „czarnych", którzy byli w SS, „żółtych", co należeli do SA, i pozostałych. Pamiętam kłótnię mojej mamy z Schadachem z Nowej Kiszewy, który był w SS. On walił w stół z jednej strony, a moja mama z drugiej; krzycząc perfekt po niemiecku, nie dawała się „czarnemu". Aż w końcu zabrakło mu argumentów i nie wytrzymał: „Du verfluchte Weib (ty przeklęta babo)", zaryczał. Lecz za tę kłótnię włos mojej mamie z głowy nie spadł, przeważnie miejscowi Niemcy starali się z nami jakoś żyć. Był na przykład taki Gubba z Nowej Kiszewy, też „czarny", co Polaków miał za głupków. Znany był z tego, że wobec obcych szybko sięgał po broń i strzelał, lecz wobec miejscowych był w porządku. Moja mama u niego służyła i nie miała źle. Zarządzał zawsze: „Proszę dać tej kobiecie chleb, kiełbasę, mleko, żeby jej dzieci miały co jeść". Do dziś mam w domu „wurstmaszynkę" od Gubby. Klatt, Kistenlerka, Bratz, Schwonka byli w SA. Schwonka przychodził do nas często pogadać; gdy zauważył, że w chlewiku nie ma prosiaka, doniósł na nas, że zrobiliśmy nielegalny ubój. Mojego tatę zamknęli w lagrze Bernau-Oberbayern, półtora roku tam siedział, potem uciekł, przepłynął w zimie rzekę Ren i przedostał się do Anglii do wojska. W szkole uczyła nas Herta Mejer, to była prawdziwa „hitlerówa". Moi bracia przed jej biciem oknami uciekali. Przeciwieństwem Herty była jej siostra Heidel, miła i delikatna. Jak wyjeżdżała w roku 1945, to przyniosła mi pudełko z prezentami. Były w nim kolczyki, bransoletka, malutkie nożyczki do paznokci, kryształowy talerz, do dziś mam to pudełko, dostałam też od niej maszynę do szycia Singer. Niemcy, jak się napili, to lubili śpiewać i kołysać się przy tym. Pamiętam zwłaszcza dwie piosenki: *Alle Hunden bellen, Alle Hunden bellen nur der kleine Rolmops nicht* i *O Zuzanno wie ist das Leben noch schön*. Wieczorami, jak wracali po piwie do domu, stawali pod naszymi zasłoniętymi oknami, gdyż był *verdunklung*, i nasłuchiwali, czy mówimy po niemiecku. Zawsze wtedy odmawialiśmy *Unser Vater,* czyli *Ojcze nasz* w tym języku.

W Nowych Polaszkach są dwa cmentarze ewangelickie. Jeden na górze na końcu wsi, jak na Nową Kiszewę się jedzie, drugi w centrum miejscowości.

– Nieraz, jak to dzieciaki, lecieliśmy podpatrywać ewangelickie pogrzeby. One były zawsze bardzo eleganckie. Niemcy podjeżdżali powozami, ubrani na ciemno, w cylindrach i białych rękawiczkach. A te cylindry tak śmiesznie się sklapywały. Na poniemieckie gospodarstwa po wojnie przyszli Polacy. Na cmentarzu na górze to oni swoje konie i krowy palowali – dodaje Regina Treder.

– Nowe Polaszki prawie całe były ewangelickie – opowiada Irena Wołoszyn. – Jednak prawdziwych nazistów wśród tutejszych ewangelików było mało. Otto Zelmann, choć był w SS, ostrzegł swoich parobków przed aresztowaniem, a u Schuberta, który był w SA, całą wojnę ukrywał się Polak. Córki „Cubby", co miał karczmę, Irma i Liedschen, Lenka od Schubertów mówiły po naszemu tak samo dobrze jak po niemiecku. Irma była nauczycielką w szkole. Po południu chodziła z dziećmi porządkować cmentarz. Tam była pompa, więc podlewano kwiaty w ogródkach za żeliwnymi płotkami. Pamiętam też jak przez mgłę wielobarwny ogród pastora Schmidta przy szkole i jego pomnik na cmentarzu, granitowy, cały czarny. Jak się wojna skończyła, zaczęto potajemnie wywozić nagrobki i dawać kamieniarzom do przeróbki, pomnik pastora też padł ofiarą tego złodziejstwa. Gdy proboszczem został ks. Edmund Talaśka, to nawet ten cmentarz poświęcił i powiedział ludziom, że kto chce, może się na nim modlić. Pewnie w ten sposób chciał go ocalić od grabieży.

„Kiedy objąłem parafię w 1970 roku, cmentarz ewangelicki był całkowicie zdewastowany – pisał we wspomnieniach ks. Edmund Talaśka. – Okoliczni kamieniarze rozbierali te nagrobki i wywozili stąd; robili z nich nowe. Przyjeżdżali z miasta traktorami i w nocy wyrywali płyty. Na tym cmentarzu był między innymi grobowiec Alexandra Treichela, ważnej dla Kaszub postaci, a także pastora Alfreda Schmidta, proboszcza ewangelickiego z Nowych Polaszek, znanego z wielkiej dobroci i serdeczności także dla Polaków. Schmidt przyjaźnił się z proboszczem ze Starych Polaszek, ks. Alfonsem Kwiatkowskim. Często spotykali się na drodze między Starymi a Nowymi Polaszkami. Ksiądz Kwiatkowski został zamordowany we wrześniu 1939. Pastor Schmidt umarł jeszcze przed wojną. Nowy pastor z Nowych Polaszek, Mueller, za to, że wstawiał się za Polakami, został wcielony do Wehrmachtu i wysłany na front wschodni, gdzie zginął".

Stanisław Baska pamięta tego pastora, woził go w czasie wojnie na nabożeństwa do kirchy w Pogódkach.

– To był fajny chłop – mówi. – Jak jechaliśmy przez wieś, to ja byłem kuczer, lecz za wsią brał ode mnie lejce i sam kierował końmi, a mnie wciskał cukierka do ręki.

Dziś w Nowych Polaszkach zachowały się jedynie dwa groby, pastora Schmidta i Alexandra Treichela. Tak o swoim ojcu Alexandrze, zmarłym w 1901 roku, pisała Anna Treichel:

„Poprzez gromadzenie kultury ludowej sam stał się swojego rodzaju ludową postacią w naszym regionie. Zbierał z drogi każdego; od starych kobiecin, poprzez ładną dziewczynę, po wędrujących rzemieślników. Wszystkich, których wyprzedzał, podwoził kawałek, byleby móc pogawędzić. A oni wszyscy nieśli wieść o starym Treichelu, tak jak z wioski do wioski wędruje saga czy pieśń ludowa. Nierzadko myśleli, że musi być aptekarzem, bo zbiera rośliny i zwierzęta".

Trucizna na lisy

Pod koniec zimy 1945 roku Niemcy z Nowych Polaszek uciekali. Hartuna, co koło jeziora mieszkał, jak jedzie się na Chrztowo i Równe też, wóz miał spakowany od wielu dni. Lecz nie wyjeżdżał; może żal mu było opuszczać gospodarstwo, może za późno się dowiedział, gdyż na wybudowaniu nie było telefonu. Jednym słowem Rosjanie, co od Starej Kiszewy tyralierą szli, tak strasznie krzycząc „Uuu!", go zaskoczyli. W panice wziął truciznę na lisy i podał ją swoim dzieciom, żonie, a na koniec sobie. Mój wujek opowiadał, że dzieci leżały na podwórku całe poskręcane w konwulsjach, jakby je coś przed śmiercią paliło. Jedno z nich znaleziono u psa w budzie, może nie chciało wypić trucizny i tam się ukryło? Córki Hartunów znałam z widzenia, chodziły do szkoły w Nowych Polaszkach, miały może osiem, dziewięć lat. Pamiętam też pochówek tej rodziny na niemieckim cmentarzu u nas. Przywieziono ich wozem zawiniętych tylko w prześcieradła, wykopano dół i w nim złożono wszystkich razem. Na pogrzebie było trochę naszych z wioski i kilku Niemców z Bartoszego Lasu, co jeszcze nie zdążyli wyjechać – opowiada osiemdziesięcioośmioletnia Irena Wołoszyn z domu Steinke.

Jej rodzina, choć miała niemieckie korzenie ze strony ojca, nie dała się „eindeuschować". Ojciec zabierany za to nocą na przesłuchania zachorował i zmarł. Matka przez całą wojnę pracowała u Georga Englera.

– Biada tym, co nie zdążyli – ciągnie Irena Wołoszyn. „Gdzie German?", wołali Rosjanie od samych drzwi, mężczyzn brano do lasu i od razu rozstrzeliwano, kobiety gwałcono. Młode dziewczyny, także Kaszubki, ubierały się na czarno w podarte spódnice, smarowały twarze sadzą, owijały głowy chustami jak babuleńki. Najgorsi byli ci pierwsi, co nadchodzili polami hurmem. W Nowej Kiszewie zaszli do domu, niby pytając się o drogę; matka wysłała córkę, żeby im pokazała, i dziewczynę spotkał okrutny los. W Nowych Polaszkach została Lenka Schubertów, ładna panna. Nie uciekła z rodziną, gdyż się zakochała w Polaku, co w ich stodole całą wojnę się ukrywał, choć stary Schubert był w SA. Lenka liczyła na to, że chłopak po wojnie weźmie z nią ślub, przecież go ocaliła. Lecz ten stał się nagle ważny, po wsi z karabinem i opaską milicji ludowej na rękawie latał, a za żonę wziął sobie Polkę. Moja kuzynka miała brać ślub, już wszystko było ustalone, gdy gruchnęła wieść, że jej narzeczony do Niemki chodzi, co przy drodze do Bukowca mieszka, i ta nosi jego dziecko. Do ślubu nie doszło. Ta kobieta podobnie jak Lenka wyjechała potem do Niemiec, dziecko zostawiła, ktoś je przysposobił w Sarnowach.

Stanisław Baska z Nowych Polaszek pamięta Hartunę. – To był zawzięty Niemiec. Lecz nie wszyscy miejscowi Niemcy wierzyli w Hitlera. Wielu było takich, zwłaszcza starszych, co nie wierzyło – podkreśla.

edrich Bo
1.1868.† 5.9.
Lebens Leid gesch
unft in ewigem Fri

Kartka z meldunkowej książki

W Sulęczynie zaskakuje ilość zachowanych nagrobków z przełomu XIX i XX wieku. Kamienne płyty z wykutymi nazwiskami w gotyku, prawie trzydzieści żeliwnych ogródków, przepięknie kutych, i tyleż samo żeliwnych krzyży. Niektóre z nich do połowy zapadnięte w ziemię, inne na betonowych podstawach, jeszcze inne oparte o drzewa, każdy z inną sentencją na odwrocie. Tylko przy wejściu bieleje pomnik z lastriko Karola Rennera 1872–1944, dziwnie niepasujący do reszty.

– Ktoś przychodzi na ten grób. Kładzie kwiaty, zapala znicze. Gdy zeszłoroczna wichura zwaliła na niego stary klon, zerwała tablicę i krzyż, ktoś wszystko uporządkował. Nie wiem kto, gdyż dopiero dwa lata mieszkam w Sulęczynie, nawet nie wiedziałam, że tutaj jest cmentarz. Lecz gdy zobaczyłam dzieci ze szkoły, co przyszły lampki palić przed Wszystkimi Świętymi, to skojarzyłam. A o Rennera proszę pytać w tym domu, co na rogu, po lewej, tam mieszka staruszka, co często na cmentarz zagląda, ona powinna pamiętać – tłumaczy napotkana kobieta.

Pukam, nikt nie otwiera. W sklepie w Podjazach, gdzie robię zakupy, chwilę rozmawiam z właścicielką, pytam o Rennerów. Danuta Kożyczkowska patrzy na mnie długo, coś jej mówi to nazwisko. – Czy z Rennerów nie była Domaszk Frieda? – zastanawia się głośno. Muszę sprawdzić, mój ojciec był sołtysem, mam stare książki meldunkowe na zapleczu.

Za chwilę przynosi pęk luźnych, pożółkłych kartek, wypełnionych pochyłym pismem, na jednej z nich czytamy: Domaszk Frieda z domu Renner urodzona w 1909 roku w Podjazach, jej rodzice to Karol Renner i Hilda Renner z domu Weichbrodt.

– Frieda była wysoka i szczupła. Zawsze poważna i małomówna. Chyba nigdy się tu nie zaaklimatyzowała. Kaszubi są niby otwarci, ale tylko na swoich. Może to doświadczenie dotknęło też jej dzieci, gdyż ani Zygmunt, ani Krystyna nie założyli rodzin. Krystyna pracowała na gminie, to ona pisała te księgi meldunkowe, Zygmunt został na gospodarstwie, prowadził rzeźnię. Oboje już nie żyją – opowiada Danuta Kożyczkowska. A po chwili dodaje: – Owszem, była pewna bariera, jednak miejscowi Niemcy i Kaszubi byli ze sobą zżyci. Moja mama powtarzała nieraz, że większy był ład za okupacji niż w czasie wyzwolenia i po nim.

Na cmentarzu katolickim w Sulęczynie odnajduję grób rodziny Domaszków. Krystyna, urodzona w 1949 roku, zmarła w 1998; jej brat, rocznik 1946, zmarł w roku 2017, ich matka odeszła w 1982, a ojciec, Feliks, dziesięć lat wcześniej.

Kościół ewangelicki w Sulęczynie rozebrano jeszcze za PRL-u, stał na górze, tam, gdzie teraz mieści się ośrodek zdrowia. W domu pastora tuż obok jest przedszkole. Nieopodal przy tej samej ulicy leży szary głaz z mottem Jana Pawła II: „Nie ma szczęścia, nie ma przyszłości człowieka i narodu bez miłości, tej miłości, która przebacza, choć nie zapomina”.

Ulica _____ Nr _____ Lokal Nr 6

Ulica _____ Nr _____ Lokal Nr 78

Nr porządkowy	Nazwisko i imiona	Imiona rodziców	Data i miejsce urodzenia	Nazwa, seria i nr dowodu osobistego lub innego dokumentu stwierdzającego tożsamość	Ostatnie miejsce zamieszkania
1	2	3	4	5	6
1.	Zarach Władysław	Leon Bruna Miotk	2.VIII.1928 Długi Kąt	BCF 264217 KPMO Kartuzy	Długi Kąt gr. Bonestro pow. kart.
2.	Zarach Maria-Praig.	Stanisław Gertruda Paubicka	18.XI.1930 Podjazy	BCD 426624 KPMO Kartuzy	od ur.
3.	Zarach Elżbieta-Bogumiła	Władysław Marta Małotka	28.V.1960 Kościerzyna	Akt ur. 502/1960/8 Kościerzyna	od ur.
4.	Zarach Bernadeta-Anna	Władysław Marta Małotka	3.III.1961 Podjazy	Akt ur. 38/61 USC Sulęcz.	od ur.
5	Domaszk Zygmunt-Józef	Feliks Frida Remer	20.XI.46 Rębiewica	SJ-5350750 KPMO K-ty	Podjazy nr 12a
6	Domaszk Feliks-Piotr	Marceli Marta Sobisz	22.IV.1911 Podjazy	SJ-5411424 KPMO K-ty	Podjazy nr 12a
7	Domaszk Frida-Malu. zd. Remer	Karol Hulda Weichbrodt	17.IX.1903 Podjazy	SJ-5414405 KPMO K-ty	Podjazy nr 12a
8	Domaszk Krystyna	Feliks Frida Remer	18.IX.1949 Podjazy	SJ-6192519 KPMO K-ty	Podjazy nr 12a

Jakie on miał sumienie

8 marca 1945 do wsi Kaplica Rosjanie nadeszli niespodziewanie, polami, omijając Grabowo Kościerskie i Piotrowo, gdzie były jeszcze niemieckie punkty oporu. Śnieg był tak głęboki, że jak szli, to wystawały tylko czubki ich hełmów i karabiny. Dochodziło południe, niemieckie wojsko, które wycofywało się na Ramleje i Goręczyno, jadło właśnie wczesny obiad w gospodarstwie Recknaglów. W ogrodzie stały skrzynki z granatami i leżały trzy zabite świnie, które żołnierze mieli zabrać ze sobą, gdy gruchnęła wieść, że „Iwan" jest już pod wsią, a z Nowej Karczmy do Egiertowa pięć rosyjskich czołgów się zbliża. Żołnierze przerwali posiłek, w popłochu narzucili na siebie krótkie kożuchy, dosiedli koni i umknęli, porzucając wszystko.

– Recknagel, choć był w partii, uciekać nie zamierzał – opowiada mężczyzna z Kaplicy, który wówczas pracował w jego gospodarstwie. Surowy był z niego człowiek, chodził po wsi, zarządzał, nam, parobkom, nieraz lanie takie spuścił, że aż w krzyżu łupało. Gospodarstwo miał 15-hektarowe, same torfy. Obrabiał je z trzema kobietami: żoną, teściową i córką. Zięć zginął na froncie, a druga córka, Gerda, była w internacie – uczyła się na sanitariuszkę. Tego marcowego dnia nic nie zapowiadało nieszczęścia. Dopiero rano Rosjanka, która pracowała u Recknaglów w czasie wojny, zaczęła się dobijać do zamkniętych na głucho drzwi. Gdy je wyważono, ujrzeliśmy stół nakryty białym obrusem, na nim Biblię, obok dopalające się świece i list, w którym napisano, że wszyscy zgodzili się na śmierć. Gospodarz, jego żona i córka zginęli od strzału, teściowa i dwoje dzieci córki mieli przecięte gardła. Nawet Rosjanie byli wstrząśnięci, wyganiali nas, wyrostków, żebyśmy na to nie patrzyli. Potem znaleziono jeszcze zakopany w oborniku mundur gospodarza i pistolet ukryty w dachu. Podobno Recknagel wezwał też do siebie brata Karla z sąsiedniej wioski, lecz ten nie dotarł. Może coś przeczuwał, a może nie doszedł przez te śniegi. Jak to możliwe, że nikt nic nie słyszał tamtej nocy, przecież w pokojach obok spali uciekinierzy z Prus Wschodnich...

Dziś w gospodarstwie Recknaglów mieszka rodzina Pakura. Gospodyni, choć nie pochodzi z Kaplicy, zna historię ich śmierci.

– Jakie on miał sumienie, żeby chociaż tych dzieci nie ocalić. To były jeszcze malutkie dzieci, w wieku półtora roku i dwóch lat. Z początku w Niemczech krążyła pogłoska, że to Polacy ich zabili. Jakie on miał sumienie – pyta bardziej siebie niż mnie.

Niewielki cmentarz okolony pasem omszałych kamieni jest tuż przy jej domu. Pod zielonym parasolem drzew ogołocone rzędy kamiennych ram, na skraju, przy polnej drodze, nowy nagrobek; kute liście oplatają miedzianą tabliczkę z napisem: *Hier ruhen Familien Recknagel i Zocholl gestorben 1945 In Stillen Gedenken Eure Gerda*.

Nad zieloną granicą

W Połęczynie, minąwszy wypielęgnowaną, katolicką część cmentarza, wchodzi się przez ukrytą w zieleni furtkę prosto w splątaną, dziką przestrzeń dawnego Friedhofu. W półmroku omszałe rzędy kamiennych ram wypełnił bluszcz, porosły samosiejki. Na żeliwnym płotku tablica z napisem: „Tu spoczywa mój kochany mąż, nasz dobry ojciec i dziadek Friedrich Domroese, albo Domresee, urodzony w 1831, zmarły 1889". To jedyny w miarę czytelny nagrobek. We wsi nikt nie kojarzy nazwiska sprzed stu pięćdziesięciu lat, za to ludzie pamiętają historie z czasów im bliższych.

– Kawałek za centrum Połęczyna płynęła rzeczka, do kościoła szło się na lewo, a do rzeczki prosto. Za tą rzeczką było już Wolne Miasto Gdańsk – opowiada mieszkaniec Kaplicy. – Młodzi chłopcy poili w niej krowy i konie. Nieraz, jak nikt nie widział, przeganiali zwierzęta na drugą stronę. Interes szedł na całego, w Wolnym Mieście za krowę jeszcze raz tyle płacili. Mój dziadek przez dziewięć lat woził końmi cegły z cegielni do Gdańska. Zawsze zabierał dwadzieścia cegieł więcej, a za dwadzieścia cegieł można było zjeść dobry obiad i dostać jeszcze pół litra wódki w Gdańsku. Szmuglowano też papierosy, raz celnicy złapali z nimi mego ojca – młodego chłopaka. Dziadek nie miał z czego zapłacić grzywny, więc poszedł siedzieć za niego do Kartuz. Trzy dni siedział w areszcie i rąbał drzewo.

Dziś niewiele się tu zmieniło, z drogi, co biegnie jak dawniej, widać niżej pas zieleni nad rzeką Reknicą, to po niej szła granica. Z mostka na Reknicy szlak wspina się w górę do Częstocina, odsłaniając widok na graniczne kiedyś Połęczyńskie Jezioro. Tu w malowniczym obniżeniu między wzgórzami w stupięćdziesięcioletnim domu z czerwonej cegły mieszka Brygida Stefanowska, lat siedemdziesiąt. Jej matka pochodziła z ewangelickiej rodziny Wohlfahrtów.

– Mama urodziła się tu w 1919 roku, jej ojciec oprócz uprawy roli dorabiał sobie handlem na granicy z Wolnym Miastem Gdańskiem, sprzedawał mięso z uboju, jajka. W listopadzie 1923 roku zaginął. Wczesną wiosną znaleziono jego ciało wstawione już nieżywe do przerębli. Sprawców nie znaleziono, dziadek pewnie padł ofiarą przemytniczych porachunków. Pod Połęczynem odkryto tylko świeżo rozkopaną mogiłę. Drugi mąż mojej babki zginął na froncie. W Norwegii zginął też brat mojej mamy. W 1945 roku w domu zostały tylko trzy kobiety: babka, moja mama i jej siostra. Na szczęście w gospodarstwie zamieszkała Rosjanka z dzieckiem, to ona broniła ich przed żołnierzami Armii Czerwonej. Potem mama poznała ojca, był

Kaszubą, dziesięć lat starszym od niej, sprowadził się na opuszczone, poniemieckie gospodarstwo w sąsiedztwie i przychodził jej pomagać. W 1947 roku babka z ciotką wyjechały do Niemiec. Mama zdecydowała, że zostanie. Była w ciąży, a nie chciała wychowywać mnie bez ojca. Długo jeszcze nie znała polskiego, pamiętam, że jak poszliśmy do szkoły, a było nas w domu czworo, dwie dziewczyny i dwóch chłopaków, to razem z nią się uczyliśmy na elementarzu. Gdy na urodzinach lub innych „fejrach" mama śpiewała, a miała piękny, mocny głos, to ja zawsze tłumaczyłam tekst piosenki z niemieckiego na polski.

Zamordowany w roku 1923 dziadek pani Brygidy pochowany został na ewangelickim cmentarzu w Czarnej Hucie. Jej matka, która zmarła w 1985, spoczywa na katolickim cmentarzu w Przywidzu, gdyż po ślubie zmieniła wyznanie.

Byli różni Niemcy

To zdarzyło się w samym środku wojny. Hilda Grzędzicka z Kameli poszła wysłać paczki dla swoich braci, co przebywali w lagrze w głębi Niemiec – opowiada osiemdziesięciodziewięcioletnia Franciszka Węsiora. Hilda szła szosą na pocztę do Przywidza. Gdy doszła do polskiej zollbudy, która wyznaczała przed wojną granicę z Wolnym Miastem Gdańskiem, pojawił się Otto Dryfs z tej samej wsi, który był akurat na przepustce z wojska. „Hilda, gdzie ty idziesz?", zapytał. Gdy odpowiedziała mu, że do Przywidza, poradził jej, żeby lepiej szła lasem, gdyż na szosie niemieckie posterunki stoją i mogą jej paczki odebrać. Hilda posłuchała i skręciła w las przy gospodarstwie Skierków. Chwilę jeszcze porozmawiała ze Skierkową, która kopała kartofle na polu, tłumacząc jej, że idzie skrótem, gdyż tak poradził jej Otto. Potem zaginęła. Kilka dni później Lena, mała córka Bemowskich, co na końcu Kameli mieszkali, przybiegła z wieścią, że w dawnym, granicznym lesie „jakiś wielki pies leży". Okazało się, że to była Hilda. Moja ciocia, która tam pobiegła, opowiadała później, że nie mogła na nią patrzeć. Hilda musiała się bardzo bronić przed zgwałceniem, gdyż miała poranioną bagnetem szyję, ramiona, a najbardziej zmasakrowaną głowę. Miejscowi Niemcy nakazali nam, Kaszubom, szybko Hildę zakopać. Trumnę przez noc zbił niejaki Richert, biedny chłopina, co zanim dom zbudował, w ziemiance mieszkał. Lecz do pogrzebu nie doszło, gdyż o sprawie dowiedzieli się inteligentni, sprawiedliwi Niemcy z Nowej Wsi. Gdy następnego dnia przyjechali do Kameli i zobaczyli pokaleczoną Hildę, nie ukrywali oburzenia: „Tak nie można jej pochować. Tu badanie musi zrobić Mordkommission", zarządzili. Od razu zgłosili sprawę do władz zwierzchnich w Gdańsku, następnego dnia przyjechała na motorze do Kameli specjalna komisja. Otto Dryfs został rozstrzelany w Wehrmachcie. A w gazecie napisano, że w żaden sposób nie należy dokuczać jego żonie, gdyż ona niczemu nie jest winna. Byli różni Niemcy. Nawet w naszej wsi. Przyjeżdżał też do nas z Hopowa bryczką na dwóch kołach pastor Weber. Dzięki niemu tam, w Hopowie, żaden człowiek nie został wywieziony. Mojego ojca, dziadka i stryja rozstrzelali Niemcy. Nasz sklep w 1939 roku zajął Niemiec Pleger. Kiedy Rosjanie schwytali go sześć lat później, moja mama tylko powiedziała: „Proszę, «Fryca» prowadzą, ale ja sobie rąk nie będę brudzić, gdyż przez to męża nie odzyskam".

Drogę, na której zginęła Hilda Grzędzicka, Franciszka Węsiora przemierzała nieraz. Przed wojną biegała nią przez tzw. zelony razem z innymi dziećmi po tanie zapałki do Wolnego Miasta Gdańska. – Trzeba było skręcić z szosy zaraz za polską zollbudą, nie dochodząc do niemieckiej, najpierw na lewo do Skierków, a potem prosto na Nową Wieś przez las. Zapałki przenosiliśmy ukryte w „buksach" – śmieje się.

Rozłąka jest naszym przeznaczeniem

Trennug ist unser Los, wiedersehn unsre Hoffnung – napisano na tablicy Hermanna Kirchberga, kochanego męża i dobrego ojca, na cmentarzu w Karwieńskich Błotach. Urodzony w 1868 roku, żył pięćdziesiąt dwa lata. Wśród zielonych barwinków wyraźnie odcina się biel nagrobka zwieńczonego bukietem kamiennych róż. Na cmentarzu zasnęli też w Bogu Fridrich Pfleger Stadtwachtmeister (1849–1915) oraz Johan Schulz (1840–1919) i Anna Schultz (1849–1915). Zasnęli również tutaj drodzy rodzice i teściowie Johann i Ernestine Koge urodzeni w 1923 i 1925 roku, zmarli w 1902 i 1897. Z innych tablic deszcze wymyły nazwiska, imiona i daty. Jeszcze czerwieni się ceglana cmentarna kaplica, jeszcze dwie lipy ocalałe przy wejściu pochylają się na grobami. Jeszcze pamięć zupełnie się nie zatarła.

Pani Maria, lat dziewięćdziesiąt jeden, na cmentarzu nigdy nie była, gdyż ten znajduje się w „pierwszym rzędzie" wsi bliżej Szarego Dworu, a ona mieszka w „drugim rzędzie", bliżej morza. Zresztą jest katoliczką i po ewangelickich grobach nie chodzi.

– Jak przyszłam tu w 1949 roku z Mieroszyna, to we wsi żadnego Niemca już nie było – opowiada. – Ich gospodarstwa, rozszabrowane, przejęło państwo. Nasze należało do starszego, bezdzietnego małżeństwa. Żyli skromnie, na budynkach była strzecha. Gospodarz był inwalidą wojennym jeszcze z pierwszej wojny, mąż i teściowie mu pomagali. Potem męża w wieku dziewiętnastu lat zaciągnięto do Wehrmachtu, trafił do niewoli i wrócił jesienią w roku 1945. Wtedy nikogo już nie zastał; czy zabili ich Rosjanie, czy zdążyli uciec, kto to wie. Tu po wojnie był prawdziwy koniec świata. Błotnista droga krzakami zarośnięta, dziura na dziurze, opuszczone domy się waliły, ciemno, gdyż elektryczność założono w 1960 roku, i to nie u nas, tylko w centrum wsi. Nas odrzucili, dopiero później, za Gierka, dostaliśmy prąd. A bez światła została tylko naftowa lampa, balia i tara oraz ręczne dojenie krów ciemnym świtem. Chodziliśmy z mężem na „pierwszy rząd" po cegłę, dostaliśmy tam chałupę do rozbiórki. Potem otworzyli czteroklasową szkołę, starsze dzieci chodziły do szkoły, do Karwi, łąkami, na skróty, najgorzej było zimą, gdy śnieg ścieżkę zawiał. We wsi zaraz po wojnie tylko trzy rodziny polskie mieszkały: Żaczek, Kwidziński, Prądziński.

Brat Marii też został powołany do Wehrmachtu. Trafił do niewoli na Syberię i nigdy nie wrócił. Po wojnie matka pojechała z jego zdjęciem do jasnowidza. Ten stwierdził, że mężczyzna żyje. Przez te wszystkie lata Maria wyobraża sobie życie brata na dalekiej Syberii. Rozłąka jest naszym przeznaczeniem…